

Waligóra, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Waligóra

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW LESZKA BIAŁEGO

TOM II

I

Wyjeżdżając z Krakowa Jaszko syn Wojewody, — myślał się udać do Odonicza i Światopelka, który mu był powinowatym, spodziewając się u niego znaleźć nie tylko opiekę, lecz zręczność pomszczenia się nad Leszkiem...

Był to człowiek namiętny, gwałtowny, natura dzika, życiem żołnierskiem rozhukana, pokutą rozjątrzona, upokorzeniem do wściekłości przywiedziona, w ostatku bezczynnością oszalała.

Jechał nie pragnąc nic tylko pomsty, życie dać niczem dlań było, byle nieprzyjaciela zgnieść i zemsty się napić do syta.

Na Pomorze było daleko, już na pierwszym noclegu w lesie, nie mogąc spać, gryząc paznogie i palce jak zwierzę, który nie mogąc pastwy dosięgnąć sam się szarpie i kąsa — Jaszko począł przebierać w sposobach jakimi by najrychlej mógł celu dopiąć. Myśli mu przelatywały różne, dziksze jedne od drugich.

Światopelka za mało mu było, Odonicz nie starczył — chciał znowu nasadzić Henryka na Leszka, roił że Konrada Mazowieckiego pociągnąwszy można.

Dochodziły już wieści do Krakowa iż Konrad naciskany przez Prusaków wykrzykiwał iż go brat zbył tem co mu z nosa spadło, że mu dał gorszą część, której obronić było trudno, spokojnie usiedzieć na niej ani dnia ni godziny.

Leszkowi wyrzucano i ten podział posiadłości, który on uczynił jak mówił „z braterskiego serca i pobożności” a brat obdarzony sarknął nań już i odgrażał się.

Jaszko spodziewał się z tego korzystać... Jawnie mu się pokazywać po dworach jako ów Jaksza pokarany za zdradę, — niebezpiecznym było; postanowił więc przybrać nazwisko Budziwoja, nie zapierając się że do Jaksów — Gryfów należał. Nie badano naówczas tak ściśle pochodzenia i związków a imiona brano jak kto chciał.

Jaszko mógł, znając różne ziemie w których z wojskiem dawniej bywał, podawać się za ziemianina jednej z nich, wedle zachcenia.

Jako rycerz szukał służby książęcej. Takich naówczas potrzebowali wszyscy. Miał z sobą koni sześć i ludzi dobrze zbrojnych, a tak szalonych jak sam był.

Prawa to była natura wojaka grabieżnika, któremu nigdy dwór nie smakował, chata nie śmiała się, rodzina nie zdawała się pociechą ale ciężarem. Nie żenił się też Jaszko, choć za niewiastami i dziewczętami latał nieustannie. W kości grać, pieśni zawodzić, pić dużo i za lada słowo do miecza się brać, dokazywać na koniu, z kopiją, narażać życie dla niczego — największą dlań było zabawą.

W ciągnięciu przez kraj, póki pod sobą ludzi miał więcej, Jaszko straszny był dla kmieci i wszelakiego mieszkańca.

Nie pytał pewnie na jakim on prawie siedział, na polskim, na niemieckim, na duchownem, czy był przypisany i niewolny, czy kmieć a osadnik; każdego zmuszał do przewodu, do popasu, do daremnego goszczenia koni i jego. Czasami nawet zabierano na drogę z podwórka co się nadal zdać mogło.

Czysty był w sumieniu bo mu się to zdawało prawem rycerskiem okazać siłę i robić co chciał... Miewał zatargi i z proboszczami po wsiach i z zakonnikami, i po miasteczkach z wójtami ale wszędzie się wyrębał... i bezkarnie to uchodziło.

Tego starego obyczaju teraz nie bardzo mógł używać, raz że ludzi miał niewiele, potem że się obawiał zbyt zwracać na siebie uwagi.

Dlatego ciszej się przesuwał, nie jechał gościńcem wielkim, ale drożynami małemi, na której przeżywając się darmo, nie robiło się wrzawy tak wielkiej.

Żał mu trochę było Krakowa, w którym choć się krył, znano w nim syna Wojewody i działał się dobrze... Szaleńców sobie jak sam dobrowszy po nocach Jaszko dokazywał, a dniami sypiał... Rozpróżnował się, zależał pole... teraz to chciał powetować.

Po drodze postanowił naprzód Wrocław nawiedzić, aby poznać co się tu działo, i choćby Światopelkowi a Odoniczowi zawieść języka.

Poprzedził on tu Waligórę, ale na zamek do książąt, ani na dwór biskupi nie zjechał, gospodą stanął, wedle obyczaju starego, u człowieka który był Jaksom winien wiele i ich

stronę trzymał. Zwano go Sulentą, człowiek był letni, kupczył suknam i różnemi tkaninami, jedną ławkę mając w Krakowie, drugą we Wrocławiu. Sam on z żoną i jednym synem siedział tu, z Niemiec dostając towar, który potem do Krakowa częściami posyłał.

Kupczył może i więcej czem, ale się z tem nie wydawał, miał tajemnic wiele, — zamknięty w sobie, milczący, zimny, pokorny, miał to w naturze iż gdy drudzy wielkimi się czynili, on chętniej małym się rad był pokazać.

Był też niepozorny, ospowaty, twarzy nieznaczącej, bródki rzadkiej, a nosił się w kózusku podpasanym rzemykiem i skórniach, żeby go za lada poganiacza od bydła wziąć można. I dwór jego za miastem był na oko lichy, tylko parkan miał mocny i wysoki. Mówiono o jego bogactwach, których się on wypierał. Ze wszystkimi w zgodzie, kłaniał się Sulenta każdemu, byle mu pokój dano. Dwóch synów jego już wcale inaczej się nosili i wodzili, czując grosz w kalecie, co ojca gniewało. On za to i żona jego Bogna jak najuboższemi chcieli się wydawać.

Sulenta w Krakowie był pod opieką Wojewody, który przez niego różne tajemne dawniej posyłał listy i znaki — nie dziw, że Jaszko w drodze go miał na myśli i wprost się udał do jego dworu, który łatwo znaleźć było.

Stary kupiec nie widział tak dawno Jaszka (a mało go i przedtem znał), że gdy do wrót przybył — wcale nie poznał wojewodzińskiego syna. — Lecz dosyć było słowa by mu się drzwi otwarły. Sulenta znał głośną historię Jaszka — słyszał o nim, — strach w nim obudzał. Gość niemiły był ale niezbyty. — Mało tego, z żołnierzem nawykłym do zbytkowania lada czem się obyć niepodobna... gościnność trzeba było groszem i spokojem opłacić. — Jaszko, gdy podpił, rzecz była wiadoma, nie obszedł się bez muzyki, bez błazna, bez wesołych dziewcząt i gawiedzi coby mu przyklaskiwała.

Trzymali naówczas błaznów wszyscy panowie, królowie i książęta, błazen był niezbędnym na dworze urzędnikiem, przy każdej biesiadzie przyprawą. U dostojniejszych a weselszych, często w ich barwie i na strawie pańskiej, a na noworocznym podarku i ofiarach które im za figle płatane dawano, bywało po kilku. Naówczas z sobą się ujadając, i wymyślając, a bijąc, przedziwnie dostojnych ubawiali gości.

Po większych miastach mieszczenie też, choć nie trzymali tych nadwornych darmożjadów, było ich zawsze kilku na zawołanie, bo już bogatsze wesele i chrzciny tak się nie obeszły bez błazna, jak u ludu pogrzeb bez płaczek.

Wrocław też miał wówczas dwu dla obojga narodowości wesołków takich, miejscowego biedaka, którego zwali Trusią i Niemca karła garbatego, przezwiskiem Liebchen...

Tegoż wieczora gdy Jaszko przybył dosyć zmęczony podróżą do Wrocławia, Sulenta chcąc go przyjąć jak należy, dał miodu i piwa w bród, strawy dla niego i czeladzi dostatkem i nawet Trusia sprowadził.

Muzyki tylko nie było, bo i kobiet do tańca brakło.

Stara Bogna nie pokazywała się wcale, obawiając szalonego Wojewodzica. Sulenta stał z boku aby co potrzeba było, dostarczyć. Towarzystwo nieliczne składało się z Jaszka, który zawczasu dobrze podpił, i ze dwóch jego przybocznych, w niedostatku innych, przypuszczonych do dzbana, aby się panicz sam nie nudził.

Z Sulenty choć co chciał dobyć Jaszko, — nie było sposobu gęby mu otworzyć.

Pomrukiwał — tak — nie, głową potrząsał w różnych kierunkach, ale na pytania drażliwsze, odpowiedzi nie dawał.

Jaszka to nudziło; lecz że go dobrze przyjęto znośił cierpliwie milczenie starego kupca.

Na Trusi, cała zabawa polegała. Trusia, Ślązak, ubogi, bezdomny, chudy człek niewesołej twarzy, wiecznie głodny i spragniony, choć błazna piastował urząd, rychlejby do płaczu niż śmiechu pobudził. Prawił głupie żarty jak z musu, sam się nie śmiejąc, może ani myśląc o tem co mówił i co powtarzał po stokroć, gdzie go zawołano.

Z twarzą długą, wyciągniętą, w odzieży połatanej, Trusia ledwie nie żebraka miał pozór.

Dwaj komornicy Jaszкови drażnili go i zaczepiali, on się im jak mógł odcinał...

— A na dworze ty bywasz? — zapytał go Jaszko...

Trusia usta w dół ściągnął i obie ręce rozstawił tak, że dziesięcioro kościstych palców zakryło mu twarz wykrzywioną.

— Na jakim dworze? — spytał.

— A no? u księcia waszego?

Trusia ramiona podniósł tak, że głowa się w nich na pół schowała, i nic nie odpowiedział...

— Coś ty, niemy? — uderzając go po plecach zawołał jeden z czeladzi. — Gadaj!

— U nas na dworze tyle błaznów że ja tam niepotrzebny! — mruknął Trusia...

To powiedziawszy jakby się spodziewał razów, plecy nadstawił. Zaczął się Jaszko śmiać.

— A jak się tam oni zwa, ci twoi bracia? — zapytał...

— Nie pytałem o nazwiska, bo co książęcy błazen, a uliczny to niejedno... Tamci w bławatach chodzą. Wara od nich...

Chcąc wyjść z tak drażliwego przedmiotu, Trusia, plugawym bluznął żarciem — ale mu się nie udało wykręcić nim, i Jaszko począł krzyżeć głośno.

— A co tam błazny dworskie mówią o naszych krakowskich? Czy z niemi družbę wiodą, czy wraźbę?

Trusia splunął.

— A to masz wiedzieć, miłość wasza — odezwał się poważnie, podnosząc rękę jedną do góry — że, choć ludzie prawią — kruk krukowi oka nie wykole — to nieprawda — właśnie kruk kruka, a błazen błazna nienawidzi, bo ten mu chleb odbiera. Gdzieżby błazny z sobą družbę miały?

Tutejszy Liebchen gdzie mnie spotka, to mnie kuksnie, a ja jak w pustej ulicy go zdybię, zawsze mu co z czupryny udrę.

— Więc myślisz że i krakowskim błaznomby się dostało? — spytał Jaszko. — A jakże to może być kiedy ich panowie z sobą braterstwo mają...?

Trusia rozśmiał się tak szeroko że wszystkie żółte swe zęby sterczące w gębie jak pieńki na karczunku — pokazał.

— Książęta, niech im Bóg błogosławi — krewnych nie mają, mówi przysłowie, a gdzieżby druhów mieli dostać??

Sulenta u drzwi stojący z rękami za pasek pozakładanemi, wśród tej rozmowy oczami zdawał się Trusi dawać znaki, żeby języka nie rozpuszczał — ale Trusia się piwa napił i wesoło mu było.

Jaszko rad był tak odpowiedzi że parę groszy rzucił błaznowi który aż do ziemi schylił głowę, a nogą jedną wyrzucił tak w górę iż czeladź śmiechem buchnęła.

Dano mu gospodarskiego piwa jeszcze miarkę...

Jaszko wypytywał.

— Czem się u was na dworze bawią?

— Zrana się modlą, we dnie poszczą, a w nocy się biczą — odparł Trusia... ale o tem błaznom się nie godzi gadać bo mu łeb zetną.

— A książę też? — zagadnął Jakska.

— Jaki książę? — spytał Trusia.

— Juści jednego macie! księcia Henryka?

Trusia się wziął za brodę, pokazując że ją długą nosił i kiwnął głową.

— Miłościwy panie, to jeden nasz pan co już nie panuje, — odparł, — a jest dwu co panować chcą a nie mogą się pogodzić, który ma iść górą... Na dobry lik jest ich trzech..., księżna czwarta, a — i jeszczeby się nalazło więcej... ale język mi utną...

Zamilkł Trusia bo Sulenta zniecierpliwiony jawnem tem a zuchwałem paplaniem pogroził mu i widząc że to nie skutkuje wystąpił na środek izby. Nie mówiąc nic przystąpił do Trusi i popchnął go ku drzwiom, drzwi się otwały naciśnięte, rzucił go za próg, nie dosyć na tem, gnał go dalej aż wygnał za bramę.

Jaszko się śmiał jeszcze z tej katastrofy, gdy Sulenta gniewny powrócił nazad drzwi za sobą zamykając, rzekł ochryplym głosem.

— Hej, kury będą piały.

Jaszko zmiarkował że gospodarz płochego gadania nie znosił, i choć zły był, dał swym towarzyszom znak, aby szli precz.

Wnet też zostali sami.

— Błaznuś nie dał gadać, Sulenta, — odezwał się Jakska leżąc na ławie i wyciągając się — to mówże ty mi sam co u was się dzieje. Jam tu nie na wasze piwa i miód przyjechał, a żeby języka dostać.

— Eh! eh! — jęknął krzywiąc się Sulenta, — języka u mnie nie ma — nie ma. — Jakby język był głowyby na karku nie stało. Szukajcie sobie gdzieindziej.

Jaszko trochę już gniewny powstał z ławy.

— Słuchajno — odezwał się do starego, — mnie ojciec po to posłał...

— Żeby błazna pytać? — odparł nadąsany Sulenta.

— Nie — ale ciebie — krzyknął Jaszko. — Tamto co się gadało było błazeństwo, a ja teraz ciebie pytam naprawdę, gadaj ty mi co się u was dzieje?

Stary zaniemiał trochę, odwilżył sobie wargi zaschłe językiem, czoło w grube marszczki mu się złożyło.

Jaszko chodził po izbie czekając.

— U mnie wy, miłośnicy panie, a choćby i ojciec wasz sam, przybył, języka nie dostaniecie. Ja tym towarem nie handluję. Nie.

— No, to dajcie mi kogo coby oczy miał, rozum i gębę — odparł Jaszko.

Sulenta się namyślał.

— Wiecie co, miłośnicy — rzekł, — wy dziś spocznijcie i wyśpijcie się, a jutro kto wam broni na dwór, i języka szukać? Na dworze różni ludzie są, może znajdziecie długojęzycznych.

To powiedziawszy Sulenta pokłonił się i już nie zważając na stojącego w oczekiwaniu dalszej rozmowy Jaszka — wyszedł z izby drzwi za sobą zakładając...

Jaksa został sam, i posłuchał dobrej rady, bo pomruczawszy zawołał pacholka, rozdział się i legł do snu jeszcze kufel wypiwszy, po niemiecku.

Nazajutrz też posłuchał rady Sulenty, poszedł na zamek.

Z tych czasów, gdy tu z ojcem przebywali, spodziewał się znaleźć znajomych, lecz tym nie wszystkim się rad był pokazywać i głosić o sobie. Nie chciał by o nim zbyt mówiono i wiadano. Najwięcej miał zaufania do niejakiego Nikosza, który onego czasu koniuszym był na dworze, lecz czy ten żył nie wiedział. Nikosz pił ogromnie i tak rad wrzawliwie się zabawiał jak on.

Sam na zamek nie idąc, posłał najniepozorniejszego z czeladzi, aby o niego przepytał, a jeśliby się znalazł, wywiódł go na dół, gdzie czekać miał. Z pół godziny straż tu nudną odprowadzając, ujrzał wreszcie Jaszko toczącą się z zamku baryłę. Nikosz od niepomiernego napoju i jadła rozrósł się był teraz jeszcze więcej niż gdy go znał Jaksa. Wówczas on był już opasłym, teraz się stał niemal odętym i na konia mu sięść bez pomocy trudno było. Zresztą ten sam co dawniej, jak tylko zobaczył Jaszka, potoczył się ku niemu ochotnie, wykrzykując na powitanie, póki mu znaku nie dał aby milczał.

Dwaj przyjaciele uścisnęli się serdecznie..., potem się zaczęli sobie przypatrywać.

— Utyłeś jak fasa! — rzekł Jaksa.

— A ty nędznie wyglądasz, coś bieda cię strzepała — odparł sapiąc Nikosz.

— Chcę się odgryźć, i dlatego z Krakowa uciekłem, — rzekł Jaksa.

— Byle nie do nas, bo tu króluje post... he! he! — począł Nikosz — ja jak chcę się pożywić i ochłodzić idę na miasto, a i z tego potem spowiadać się muszę, aby grzesznej duszy nie zgubić.

— Nikoszu miły, pogadaliśmy, — rzekł Jaszko, — byle gdzie kąt. Na zamek do was ja nie chcę, u Sulenty u którego mieszkam, nie rażno się rozgadać — gdzieby pójść?

Nikosz się poskrobał w głowę, i dokoła oczyma zatoczył.

Na ucho szepnął Jaszкови.

— Ja tu mam wdowiczkę pobożną, do której czasem na miód zachodzę. Dobre ko-biecisko, ale u niej się trzeba cicho sprawować, bo ona nie lubi hałasu... żeby ludzie nie gadali.

Skrzywił się nieco Jaksa.

— Chodźmyż — rzekł.

Nikosz choć otyły do zbytku, ruszył dosyć rażno w ulicę, potem w ciasny zaułek, potem w przełaj jeszcze węższy, i zadyszany zastukał do drewnianych wrót, które się nierychło otworzyły.

Napród odsunęła się okienniczka i ktoś wyglądał, patrzył, potem zamknęła ona, kroki słyszeć się dały, i stara sługa ostrożnie bramę uchyliła. Nikosz przodem wszedł, chciała zaraz zamykać, ledwie wyprosił że Jaszka wpuszczono.

Z sionki wężkiej dostali się do izby ciemnej a pustej, z którą gdy się oczy oswoiły postrzegł Jaksę na ścianie krzyż wielki, i kilka świecących obrazków wianuszkami obwieszonych... Izba wyglądała niemal jak cela klasztorna, smutnie, zimno, grobowo...

— Gdzież my to zaszliśmy? — spytał.

— Do mojej wdowiczki — odparł cicho Nikosz. — Czekaj chwilę zaraz się i ona ukaże, ale, zmiłuj się nie pozwalaj sobie, bo to niewiasta pobożna.

Znałem jej męża, — dodał, — dlatego mnie przyjmuje.

Chrząknął Nikosz, patrząc na drzwi od alkierza, z których bojaźliwie krocząc wychyliła się kobieta cała w czerni ubrana, z oczyma spuszczone, ze złożonymi rękami, bojaźliwie i skromnie, idąca ku gościom.

Młoda jeszcze i piękna, z figlarnym wejrzeniem, którego nie umiała zmienić, usta miała ściągnięte jakby musmą i z całej jej figurki pobożnością namaszczonej kłamstwo jawnie biło.

Przed obcym chciała się okazać niezmiernie zającą a poważną niewiastą, choć ją to wiele kosztowało.

Nikosz zbliżył się poufale do niej, czem przestraszona poczęła się cofać i srożyć, dopiero gdy jej coś szepnął, pokłoniła się przybyłemu zdala, chłodem się przyodziewawszy jeszcze kłamliwym... Jaszko patrzył i uśmiechał się.

— Niczego! — rzekł przez zęby.

Wdowiczka znikła, a stara baba przysłała ze dzbankiem, i zakąską, i z trzema kubkami.

Przyjaciele zasiedli oba spragnieni, i już mieli począć się częstować, gdy wdowa wróciła. Jaszko ją przyjął wesołym a tłustym żartem, który trochę spłoszył, lecz nie odpędził jej od gości. Dała sobie nalać kubek, przepiła do gości, popatrzyła na Jaskę ukradkiem dosyć mile, potem zakręciwszy się jeszcze, jakby się jej nie bardzo odchodzić chciało, i na odchodnym parę razy zerknąwszy na Jaskę, — znikła w alkierzu, który niepotrzebnie z wielką troskliwością od środka zaryglowała.

Poczęli kubkami potracając pić.

— Wdowiczka niczego! he! — rzekł Jaszko — a z ciebie łotr zawsze!

— Co ty sobie myślisz! — ofuknął Nikosz — niewiasta tylko od kościoła do kościoła chodzi... pobożna!! Co ty myślisz...

Rozśmiali się oba.

— Ale nie o tem ja z tobą mam do mówienia — odezwał się Jaszko. — Bądź ty mi druhem, a prawdę mów. Jaki u was wiatr wieje ku Krakowu?

My tam Leszka mamy dosyć, z nimby skończyć trzeba...

— Tak? już? — spytał Nikosz.

— Albo nie czas? — odparł Jaszko... — Odonicz ze Światopełkiem poczęli... Konrad mu w posiłek nie przyjdzie — no? a wy?

— Książę Henryk już nie pójdzie teraz nigdzie chyba do kościoła — rzekł Nikosz. — Kto wie? gdyby Leszka nie stała? a póki on żyw, nie! nie! Strzyma słowo. Pobożny pan, księżnaby mu go złamać nie dała, a on jej we wszystkim posłuszny.

— Tak u was? — przebaknął Jaksę — to — źle... A młodzi?

— Młodych dwu z sobą się gryzą... a jeszcze mocy całej w rękach nie mają. Wielko-rządca są a ojciec głową. — Bez ojca i matki nie zrobią nic...

Jaszko się zamyślił.

— No — to po was nam nic — rzekł.

— Komu, nam? — wtrącił Nikosz.

— Tym co Leszka się chcą zbyć — począł Jaszko.

— Nie przyjdzie to łatwo — rzekł opasły. — Siedzi on mocno, panowie biskupi wszyscy za nim, rady mu nie dacie...

— Toć — zobaczymy — odezwał się Jaszko. — Ja jeszcze nie wiem nic krom tego że Leszka obalić trzeba... Nie zmódz go siłą, a od czegoż sztuka??

Nikosz popijał, jakoś nie bardzo rad rozmowie.

— Jeżeli ty z tem tu przyjechał, — rzekł, — nie masz co długo gościć. — Nie zrobisz nic... Wracaj nazad.

— Albo ja do was jechał? — odparł Jaksę — ja sobie teraz wolny człek, jeżdżę a wacham, dziś tu, jutro indziej. Kto wie dokąd się powlokę...

Nie ma książe Henryk rozumu, trudno mu go dać. Jakby chciał miałby Kraków, miałby Sandomierz, wszystkie jego ziemie, Śląsko do nich byłby łącznie panem, boby Lasconogiego i Odonicza wygnał, a Konrada się pozbył. Gdy mu się tego nie chce, niechaj w chórze śpiewa...

Weźmie mu to Konrad z przed nosa... a z Konradem inna sprawa niż z Leszkiem, on i po Śląsko sięgnie...

Pijąc Nikosz patrzył na mówiącego i sapał, a wąsy ocierał.

— Co mnie do tych spraw — rzekł, — jam rad gdy konie nie zdychają, piwo zamkowe niekwaśne, a wdowiczka łaskawa... pańskie kłopoty nie moja rzecz... A ty — słuchaj Jaszko, raześ oberwał, jeszcze ci się chce?

— Pewnie! pewnie! chce mi się i bardzo chce — poczał gorąco Jaksę — ale ty nie wiesz czego! Od pasa mnie rycerskiego odsadzili, jak psa mnie wyrzucili — ojciec rodzony nie śmiał się do mnie przyznać. Ty myślisz że tego octu z żółcią się napiwiesz, można ledz spać i zapomnieć — toś nie człek — ale baba... Mnie wątrobę wyżera pragnienie pomsty, i będę ją miał... będę — lub marnie sam zczeszę...

Nikosz popatrzył w próżny kubek, nalał sobie i rzekł obojętnie...

— A co? niezłe? pij!

Jaksę strzelił nań okiem pogardliwym.

— Ej ty! — i splunął...

— U niej — odezwał się zagadując koniuszy — u niej, u tej mojej wdowiczki, to osobliwa rzecz, u niej zawsze wszystko dobre. W całym mieście piwo kwaśne, u niej jak oliwa (pogłaskał się po piersi) — wszędzie będzie chleb gorzki, u niej odejść się nie można. Wody nawet nigdzie takiej jak tu. A i ona sama! e! drugiej w świecie poszukać...

Jaszko dopił, nalał i podparłszy się na łokciu wpadł w zadumę jakby sam jeden tu był, nie zważając na towarzysza, który coraz to na niego to na drzwi alkierza spozierał.

— Wiedziałem ja tu darmo do Wrocławia jechał, — rzekł długo przemilczawszy Jaszko... — Ty bo nic pewnie nie wiesz?

— Ja wszystko wiem — rzekł stanowczo bardzo Nikosz bijąc się po brzuchu. — Tu na Leszka póki żyw nikt nie pójdzie. Jakby Kraków pusty był... albo wdowa z dziećmi, hm... może...

Książę nie dosyć że brodę zapuścił od czasu jak z żoną nie żyje, ale i rycerstwo mu nie do smaku... My się już modlim tylko...

— I ty? — spytał Jaksę szydersko.

— A jakże? — odparł urażony Nikosz, — inaczejbym na dworze nie wybył do wieczora!! Pamiętacie wy pisarza książęcego Mikołaja z Henrychowa? Jaki mąż był wesół i ochotny?

— A cóż się z nim stało?

— Postrzygł się, został mnichem Cystersem a Henrychów dał na swój klasztor.

I co śpiewał wesołe pieśni, teraz w chórze wywodzi...

— No, to i ciebie to może czeka? A cóż będzie z wdowiczką? — zaśmiał się Jaksę.

Westchnął brzuchal. — A! gdyby nie ona, ta pokusa — rzekł, — kto wie. Czemu nie? Myślisz że u Cystersów jedzą źle albo piją cienkusz? Człowiek się o nic nie troska, siedzi jak u Boga w rękawie... i jeszcze zbawienie ma w dodatku pewne!

Gawędzili długo, póki dzbana stała. Nikosz zajrzał że już na dnie nie było nic, — chwila niepewności nastąpiła czyby o drugi nie prosić. Lecz Jaszko, który chętnie pił, nie miał tego dnia ochoty nawet do słodkiego piwa wdowy i wstał od stołu pierwszy.

— Bądźże mi zdrów, Nikoszu — rzekł — albo się zobaczymy na świecie, albo nie. Mnie głowa świerzbi na barkach, muszę gdzie trzeba... Kto wie co będzie!! Ano co człek postanowi strzymać musi.

Nikosz też ruszył z ławy, choć po napoju spocząłby był chętnie. Tęskno mu było opuszczać tak rychło wdowę, lecz musiał Jaszka przeprowadzić. — Żal mu się zrobiło skazańca tego.

Już mieli wychodzić, gdy komory drzwi od ryglowano, i piękna wdowiczka nieśmiało się ukazała — aby gości pożegnać. Szczęśliwie łaskawem okiem spojrzęła na młodszego nieco Jaksę, skłoniła mu się, a gdy Nikosz poufalej po piwie chciał ją żegnać, zasromana i gniewna, pierchnęła.

Wyszli tedy, ciągnąc nazad podle zamku, gdzie się pożegnali jeszcze, i Nikosz do swych koni, a Jaksza wrócił do Sulenty.

Domyślał się gospodarz gdy go zobaczył w progu z samej twarzy już że nic dobrego nie przyniósł z sobą.

— Coś ja tu u was długo nie będę stać gospodą — rzekł Jaszko. — Nie ma mi tu pono co robić.

Sulenta głową to potwierdził.

— Trzymacie z Leszkiem, — dodał, — bodaj wam to na dobre wyszło...

— Nie biadajcie nad nami, — mruknął kupiec milczący — my ludzie spokojni, cudzego nie pragniemy, swego nie damy... Na tem koniec.

Krakowowi z Wrocławiem, a Wrocławowi z Krakowem trzymać potrzeba...

— Aby sukno szło! — uśmiechnął się Jaksza.

— Sukno lepsze niż krew chrześcijańska — dodał Sulenta.

Popatrzyli na się... Kupiec trochę gorzkie słowo chcąc zapłacić, kazał misy przynieść i do stołu zaprosił. Począł dolewać gościowi by mu dobrą myśl przywrócić — lecz Jaszko siedział ponury patrząc w stół — i niekiedy tylko wyrwało mu się niepoczesne z ust przekleństwo.

Tak pierwsza próba mu się nie powiodła. — Wprawdzie nie wiele na Ślązaków rachował — inaczej mu jednak dwór ten się wydawał, niż go znalazł. Młodzi nie dorosli do własnej woli, stary się jej wyrzekł... Nie było więc co robić...

Gożej niż to zabolalo mściwego Jaksę, iż z tego co słyszał wnosić musiał, że Henryk Brodaty z Leszkiem iść gotów, podpierać go i trzymać.

Ślązka siła niemalą była, a niemieckie rycerstwo, zbroja i obyczaj, czyniło ją groźną. Nie potrzebował się z nikim ucierać Henryk, ręce miał wolne... Kilkadziesiąt tysięcy ludzi mógł wystawić w potrzebie...

Trzeciego dnia pożegnawszy Sulentę, Jaszko szarą godziną puścił się ku Płockowi, do księcia Konrada, zostawując naostatek Odonicza i Światopełka, których był pewnym że jak on myślą, i przyjmą go otwartymi rękami.

II

Mszczuj Waligóra wieczorem wjechał do Wrocławia, gdy na zamek już zapóźno było.

Oznał się w bramie aby dano na gród znać, przyszli zaraz urzędnicy książęcy gospodę w mieście posłańcowi biskupiemu wyznaczyć.

Od wrót już Waligóra się buczył i zżymał słysząc prawie samą niemiecką mowę. Choć ją rozumiał, udawał że jej nie zna, wołając o Ślązaka z którymby się po ludzku mógł rozmówić.

Komornicy zamkowi, Niemcy wszyscy spoglądali nań koso, on im to z nawiązką oddawał. Na ukłony nie bardzo odpowiadał, wielu z nich udawał iż nie widzi. Gospodę w rynku dali mu przecie u takiego z którym po swojemu się rozmówić mógł. Człowiek był średnich lat, z dawno, od wieków tu osiadłych, niegdyś dostatnich, dziś już podupa-dłych mieszczan.

Zwał się Hołubek. W początkach się wypraszał od narzuconych gości, potem postrzegłszy że z Krakowa byli, przyjął ich dosyć uprzejmie. Nic też od niego oprócz dachu dla siebie i koni nie potrzebowali, bo posłom na dwór książęcy przybywającym..., obroki, strawę i napój z grodu dostarczano.

Hołubek, człek niskiego czoła, czarno zarastający, krępy, niezbyt miłego oblicza, patrzący z podełba, choć na pierwsze wejrzenie pociągnąć do siebie nie mógł, człowiek był niezły, tylko niepowodzeniem zbiedzony i skwaszony. Gdy się ludzie zajmowali rozłożeniem w gospodzie, przyszedł Mszczuja powitać. Spojrzeli sobie w oczy i oba się znaleźli jakby jednej myśli i nastroju.

— Cóż tu Wasza Miłość u nas robicie, — odezwał się Hołubek, — my tu już, krom powinowatych nie wielu, mało kogo od Krakowa widujemy, — choć tam nas serce ciągnie...

— Z listami przybyłem, — odparł Mszczuj. — Co za dziw że nas tu mało jeździ, kiedy u was ludzkim językiem i rozmówić się trudno. Szwargotem mnie przywitali w bramie, po niemiecku chcieli gościć, i gdzie się obróć ino tę mowę słyszę.

— Bo jej tu codzien więcej, — rzekł Hołubek z westchnieniem, — a nas tu starych coraz mniej. Jak my wymrzemy całe nie stanie i języka i pamięci. Niemcy posiadają wszystko.

Obejrzał się mówiąc bojaźliwie i głowę pogładził.

— Ciężkież tu życie macie! — westchnął Mszczuj.

— Tylko Bogu wiadomo jak — mruknął Hołubek. — Poczęło się to już z dawniejszych czasów, a teraz urosło, że i nadziei nie ma, aby się zmieniło!

Mało tego że we Wrocławiu około dworu Niemcy górą, ale się sadzą kupami na pustych ziemiach, a nie słuchają nikogo. Mają swoje prawo...

— A książę? — zapytał Mszczuj.

— Książę też dla żony musi Niemcem być, choć z sobą teraz nie żyją — rzekł Hołubek, — a i dla księży z Niemiec, i dla dworu, bo ten cały takież...

— Naszych tu dużo? — przebaknął poseł.

— Z każdym dniem mniej, ani dziw — ciągnął dalej Hołubek, — bo na tę odrobinę spadły ciężary wszystkie, dziesięciny do kościołów, przewód, podwoda, naraz, pogoń! Kto to zliczy. Niemca o to nie pytaj i nie tykaj, bo on tu przyszedł aby jadł i zbierał, a nikomu nie winien nic...

— Biada! — mruknął Mszczuj.

— Jam się wynosić chciał już — dodał gospodarz, — ano domisko mnie przykuwa. Toć to tu dziadek i ojciec, żyli i umarli, chciałoby się kości złożyć przy ich grobach...

Hołubek lży otarł.

— A młodzi książęta? — odezwał się Mszczuj.

— Henryk starszy co go ojciec kocha, jeszcze trochę ma naszych koło siebie, garną się do niego, drugi matczyn ulubiony, z Niemcami trzyma, — mówił gospodarz... — Henryk pono nie da sobie rady i zniemczeć też musi.

— A potem i cała ziemia ich! — rzekł Mszczuj.

— Cała ziemia! — westchnął Hołubek.

— Zawojują bez oręża i bez krwi, — dodał Waligóra — niewiasty co ich dla książąt z Niemiec brano, jakby ich u nas lub na Rusi nie było, — niewiasty nas zawojowały... Za każdą szedł książę, sługa, służka, czeladź, mnożyli się prędko, — i co Niemiec u nas to pan... Z lada pachółków na możnych pourastali.

Hołubek raz wpadłszy na ten przedmiot, nie łatwo kończył, rad był z serca zrzucić co się na niem od dawna zebrało. Mówił długo, a Waligóra słuchał chętnie. Cóż przytem znaczyła sprawa Leszka czy Konrada, gdy tu ziemię całe po cichu przechodziły pod panowanie plemienia, które się wciskało, osiadało, — i przyswajało je sobie...?

Waligórze twarz nocą zaszła i mrokiem, napojony tą goryczą, pożegnał się z gospodarzem i legł zobojętniały już prawie na to co go tu spotkać mogło. Gorszego się już nie spodziewał.

Nazajutrz rano, gdy on i ludzie gotowi byli na zamek, przybył ochmistrz księcia Henryka, Peregryn z Weissenburga, który najulubieńszym był jemu, i całe miał zaufanie.

Niemiec to był, z powołania rycerz, człowiek spokojny mimo to jak każdy męznego umysłu mąż, łagodny na pozór i poważny wielce... Ten już się był długim pobytom na dworze śląskim i języka miejscowego nauczył, tak że się nim mógł rozmówić. Mszczuj zaś miał mocne postanowienie Niemców nie rozumieć i zmusić ich aby z nim rozmawiali jego językiem.

Peregryn przybrał się był widać na przyjęcie posła dosyć dostatnio i pięknie, łańcuch miał na szyi, miecz u pasa, a hełm za nim niosło pacholę. Prawie tak silny i wyrosły jak Waligóra, nie ustępował mu piękną postawą i szlachetnym jej wyrazem. Z tych Niemców co na dworze Henrykowym bawili, znośniejszego trudno zaprawdę znaleźć było.

Mszczuj choć go nie znał z twarzy, słyszał o nim wiele, bo to był nieodstępny sługa, albo raczej przyjaciel księcia Henryka.

Mimo rycerskiej postawy Peregryna, charakter dworu śląskiego odbił się na nim. Mały krzyżyk z pod łańcucha jego wyglądał, suknie były barwy ciemnej, krojem jakimś zakonne przypominającym.

Wczorajsi urzędnicy musieli mu opowiadać że Mszczuj niemieckiej mowy rozumieć nie chciał, zbliżył się więc doń Peregryn, w imieniu księcia witając go łamaną ale polską mową.

Mszczuj coś krótko odpowiedział, i choć Peregryn zdawał się chcieć od razu przyjaźnie zawiązać stosunek, dał poznać że chce pozostać nie spoufalając się — zdała.

— Kiedy mogę otrzymać posłuchanie u księcia? — spytał Waligóra.

— Bądźcie maluczko cierpliwi, — rzekł Peregryn, — teraz książe jest na Mszy świętej, po której psalmy i modlitwy odprawić musi codzienne; poczem dopiero przyjmie was ochotnie...

Moglibyście tymczasem, — dodał, — wygodniej spocząć na zamku naszym — gdzie- byście więcej ludzi znaleźli, a nie siedzieli jak tu samotni...

Mszczuj zgodził się na to, myśląc że się też lepiej na grodzie rozpatrzyć potrafi. Wyprowadzono konie, wyszli ci ludzie którzy towarzyszyć mieli posłowi, Peregryn ze swojemi przyłączył się do nich i cały orszak na zamek pociągnął.

Było na nim ludno dosyć, ale zarazem cicho... W podwórcach stały konie i wozy tych, którzy do księcia w różnych sprawach przybywali. Wprowadzony do wielkiej izby Mszczuj znalazł ją na pół już zajęta przez oczekujących.

Wpółśród nich, uderzyły go mnogie habity różnych duchownych ludzi i mnichów, białe, szare, czarne, — głowy wygolone, długie suknie klechów, którzy tu przemagali. Stali oni na przedzie a za nimi rycerstwo tutejsze, dostatniejsze i uboższe i łąni do rozpoznania po stroju i twarzach osadnicy i urzędnicy niemieccy...

W sali panowała cichość klasztorna, bo i ona sama coś miała w sobie klaustralnego.

Na jednej ze ścian wisiał ogromny krzyż z wizerunkiem Chrystusa..., u drzwi było naczynie spore z wodą święconą...

Nad wszystkimi wnijściami do niej białą kredą porysowane były litery, porozdzielane krzyżykami.

Woń kościelnego kadzidla, dochodziła tu zkadś — i powiększała złudzenie.

Mszczuj rozpatrując się pośród nagromadzonych, postrzegł twarz niegdyś, dawniej, z młodszych lat znajomą. Taką mu się ona przynajmniej zdała, choć niepewien był czy się nie mylił. Człowiek bowiem którego znał świeckim, wesołym a ochoczym towarzyszem, zestarzały, spoważniały, miał na sobie suknię zakonu Cystersów.

Gdy mu się przypatrywał jeszcze Mszczuj, zdziwiony tem podobieństwem, mnich także oczy skierował ku niemu, uśmiechnął się i zbliżać zaczął powoli.

On to był, ten którego zwano dawniej Mikołajem z Henrychowa, możny pan, pisarz i kanclerz księcia Henryka, który teraz własną wieś oddawszy na założony przez siebie klasztor, opatem w nim był obrany. Nosił on wprawdzie dawniej suknie kleryka, ale święceń nie miał, i nie okazywał powołania. Mszczuj który nie słyszał co się z nim stało, zdumiał się gdy go ujrzał witającego uprzejmie i z widoczną radością...

— O mój Boże! — zawołał — cóż się stało z wami?

— To co widzicie — odparł Cysters spokojnie — lepszą część obrąłem sobie — i — jestem szczęśliwy... Do portu przypłynąłem!

Waligóra patrzył jeszcze zdumiony, słowa nie mogąc wyrzec.

— Zdumiewa cię to, miły bracie, — odezwał się Mikołaj — mnie samemu czasem dziwno że Bóg łaską swą powołać mnie raczył i z Saula Pawłem uczynił... Skutek ci to jest świętego przykładu pana naszego i pani, nadewszystko jej, świętej niewiasty tej, która w gorliwości o chwałę Bożą, męża, dzieci i siebie by jej poświęcić gotowa, — a świata się wyrzec.

Mszczuj skłonił głowę... Głębokie przekonanie i zapal z jakim mówił ojciec Mikołaj, działało nań...

Mówili jeszcze, gdy szmer się dał słyszeć na sali, rozstąpili się wszyscy ode drzwi, szepać zaczęto dziwnie, poruszenie wielkie dało się czuć w tym tłumie, duchowni wystąpili wszyscy naprzód i postać nowa ukazała się u wnijścia.

Był to mąż lat średnich, ale straszliwie wychudły, opalony, ogorzały, w zaniedbanem ubraniu czyniącym go podobnym do żebraka. Oczy czarne nadzwyczajnym jakimś gorejące zapalem, miały siłę taką że ich wejrzenia nikt wytrzymać nie mógł. Głowa prawie cała wygolona, wązkim skrawkiem włosów tylko okoloną była, jak cierniową koroną. Nogi miał bosc i pyłem okryte, z przyczepionemi do nich drewnianemi trepkami, na sobie długą suknię z sukna ciężkiego brunatnego, podwiązaną prostym powozem...

Mszczuj który jeszcze w życiu nie widział żadnego z synów św. Franciszka, spytał Cystersa — ktobyto był.

— A! to jeden z uczniów tego świątobliwego męża z Assyżu, co nowy zakon żebraczy założył, który pokorą i ubóstwem, świątobliwością i zaparciem się nas wszystkich prześcignie.

Księżna chce im klasztor w Krośnie założyć, i uprosiła go sobie...

Wchodzący mnich, widząc że go ze czcią jakąś chcą przyjmować, jakby zawstydzony — cofnął się u drzwi na miejsce ostatnie.

Napróżno Peregryn usiłował go z zakątka wyprowadzić, oparł się i pozostał ubożuchno przy ścianie. Oczy wszystkich z niesłychaną ciekawością utkwily w tym człowieku, który natychmiast spuścił żrenice, skłonił głowę i uczynił się małym, aby odwrócić tę uwagę naprzykrzoną...

— Czemże my jesteśmy przy nich? — odezwał się z pobożną exltacją ojciec Mikołaj. — Ci bracia nie mają własnego nic, nie biorą pieniędzy, żyją jałmużną, a ciało swe karczą tak iż żywcem w niebiosa mogą być wzięci!

Szczęśliwy wiek, który razem widział narodziny dwóch takich mężów Bożych jak Dominik i Franciszek...

Waligóra słuchał, patrzył i zdumiewał się, bo na całym tym dworze, dokoła, o nim nie mówiono tylko o świętości i o szczęśliwości tych co się mogli Bogu poświęcić. Rycerski charakter dawnego otoczenia książęcego ustąpił i znikł pochłonięty religijnym zapalem.

Co było jeszcze rycerskiego tłumaczyło się tem tylko, że miało pogan do zwalczania i nawracania. — W Hiszpanii wojowano z Maurami, myślano o odzyskaniu straconego Jeruzalem i Palestyny, we Francyi tępieno Albigensów, w Mazowszu Krzyżacy już się gotowali na Prusy.

Świeckie sprawy były dla wszystkich rzeczą podrzędną, a i te bez pomocy i opieki duchowieństwa nigdy się pomyślnie dla opornych mu rozstrzygnąć nie mogły.

— Wyście ludzie tu święci i świętością zajęci — rzekł Mszczuj do Cystersa — a ja wśród was czuję się obcym i ledwie nie wstydam oziębłości mojej.

— Leszek wasz też pobożny wielce jest i wiele dla kościołów czyni, dzięki ojcu swemu duchownemu który go na tę drogę wprowadził i utrzymuje; ale nie dorównywa panu naszemu, co się już równie jak pani nasza całkiem wyrzekł świata...

— A któż o panowaniu myśli u was? — spytał Mszczuj.

— Na młodych to spada, — rzekł Cysters... — Ci też w ślady rodziców wstępować będą. — Błogosławiona pani nasza wniosła nam to szczęście do domu...

— Słyszałem że jej tu nie ma — odezwał się Waligóra.

— Nie siedzi ona nigdy z mężem razem — rzekł Cysters, — bo w Trzebnicy jej lepiej jest, w murach zakonnych...

Domawiał tych słów, gdy oznajmiono księcia Henryka, który właśnie z kaplicy powracał... Szli przed nim dworzanie i Peregryn z Weissenburga z laską go poprzedzał. W ciemnej sukni, z krzyżem na piersi, smutnej i zadumanej twarzy, z długą ciemną, srebrzącą się brodą, która mu na piersi spadała, szedł ciężkim krokiem znużonego wiekiem człowieka, książę Henryk... Oblicze było pańskie, poważne, rycerskie niegdyś, bo śladów tej przeszłości nie zatarła terażniejszość, choć dziś smutna, pobożna rezygnacja i pokój tego co się wyrzekł wszelkich ziemskich nadziei, oblewała je. Wejrzenie na ludzi z pod ściężonych powiek padało dziwnie chłodne, obojętne, zastygłe... Dopiero wzrok rzucony na stojącego u drzwi, ubogiego zakonnika włoskiego, odżywił martwe rysy, książę podszedł ku niemu i schylił się aby pocałować rękę mnicha, który się cofnął z pokorą.

Widok był dla wszystkich poruszający tego władcy korzącego się przed zbiedzonym człowiekiem w sukni połatanej i wytartej.

Bądź co bądź było to zwycięstwo ducha nad ziemską potęgą, był to tryumf słabości i pokory...

Książę spoglądał nań z rozrzewnieniem... lecz nie miał czasu wezwać tłumacza do rozmowy, ani zbliżyć się doń, gdy już komornik wpadł do izby, oznajmując nowinę wielką, niespodzianą, że księżna Jadwiga sama, przybywała z Trzebnicy.

Po wielkiem i nagłem poruszeniu jakie wnet zapanowało w izbie, po niespokojnej radości jaką książę i wszyscy przytomni okazali, można się było domyśleć jak potężnie umysłami i sercami wszystkich władała pobożna pani...

Znikł ów książę, przed którym schylało się wszystko przed chwilą, stał się jednym z tych co na panią czekali...

Panią ona tu była. Co żyło cisnęło się na jej spotkanie, na powitanie...

— Księżna! — powtarzano dokoła...

Rzadko bardzo odwiedzała Wrocław i męża pobożna Jadwiga, nigdy się z nim inaczej nie widując jak w orszaku swych towarzyszek i dworu, nigdy sam na sam. Uczyniony ślub rozłączał ją z mężem... Potrzeba było wielkiej wagi spraw, by się wychyliła z ulubionego schronienia w Trzebnicy, w którym była niemal sługą Bożych służebnic, a jednak ich panią i ich światłem...

Już od bram miasta, jak tylko pobożną księżnę poznał lud, ubodzy, duchowni, tłum wielki otoczył ją i wiódł aż na zamek. Cała wielkość świecka tego dworu, znikająca i malała w jej obecności...

Mszczuj stał patrząc ciekawie, i ani już wiedząc kiedy może otrzymać posłuchanie. Gdyby nawet Leszek sam pod ten czas się tu znajdował, znikłby był przy księżnie Jadwidze...

We drzwiach ukazała się ona.

— Byłali to ona? — spytał się w duchu Mszczuj. — Siostra królowych dwu, wielkiego rodu pani??

Zdumienie ogarnęło go wielkie. Ujrzał niewiastę, której włosy siwe okrywała zasłona czarna, w sukni powłoczystej długiej ciemnej, w takimże płaszczu, z krzyżem na piersiach, prawie ubogo odziana... Majestat jej jednak przebijał się przez tę odzież co go ukryć chciała...

Twarz wrażała podziwieniem i trwogę, — byli to żywej niewiasty oblicze, czy z grobu powstaje? Płynęła krew pod tą pergaminową skórą żółkłą i poczerniałą? Najmniejszego wzruszenia nie okazała postrzegłszy męża, nie drgnął żaden mięsień tej posągowej twarzy, skrzeplę siłą własnej woli, a kryjącej w sobie nadmiar życia i nadludzką jakąś potęgę...

Wzrok jej przerażający pokojem niezmiernym, zapożyczonym z jakiegoś źródła wyższego, potoczył się zwolna po przytomnych. W chwili gdy oczy jej zatrzymały się na Wąligórze, obcy ten człek, uczył dreszcz przebiegający po nim, jakąś siłą która go obezwładniała...

Oniemiał pod tem wrażeniem, pot wystąpił mu na czoło...

Zrozumiał teraz panowanie nad ludźmi pobożnej niewiasty, bo sam uczył na sobie moc jej. Ulegali jej wszyscy — milczenie głucho, pokorne zapanowało w izbie...

Księżna szła a oczy wszystkich ciągnęły za nią oderwać się od niej nie mogąc. Stała nareście w pośrodku, w pewnym od męża oddaleniu, który się przybliżać nie śmiał. Stał pokorny z głową spuszczoną, jak pierwszy jej sługa...

Gdy światło padło na nią, Wąligóra mógł się jej lepiej przypatrzeć. Wstyd mu było tego że się tak w pierwszej chwili dał olśnić temu majestatowi, podniósł więc oczy z wolą silną przyglądania się strasznej pani...

Korzystał z tego iż właśnie powołany do niej mnich przybyły, zajął ją całą.

Mszczuj rozpatrywał się w niej, i byłby może odzyskał swój chłód i obojętność, gdyby w tem głos księżnej nie dał się słyszeć. Mówiła do mnicha, cisza panowała na sali, a głos ten spokojny, stłumiony, w którym brzmiało znużenie i znękanie, — niemający żadnego uroku widocznego, dającego się tłumaczyć, znowu dreszczem Mszczuja przejął.

Był to głos jakby z za grobu wychodzący — którego słowo każde niemylnym wyrokiem i rozkazem...

Napróżno Mszczuj powiadał sobie iż niemką była, — nie mógł się w duchu przeciwko niej zbuntować. — Ile razy w stronę jego zwróciła wzrok, spuszczał oczy, niepokój go ogarniał, radby był uciec i skryć się.

Toż samo wrażenie oczy te i głos czyniły na wszystkich, choć w nich ani dumy, ni chęci panowania nie było. Czar jakiś mieszkiał w tej niewieście, która zdawała się z innego świata zstępować obdarzona mocą straszną i niezwykłą...

Mógł się o niej Mszczuj przekonać natychmiast, gdyż zaledwie z mnichem krótko pomówiła księżna, boczne drzwi otworzyły się od środka zamkowego; i z nich wyszły spotkane w drodze, a obronione przez Wąligórę, dwie podróżne, siostra Anna i sierota Biana.

Tę bladą, przestraszoną, w pół omdlałą, oczyma obłąkanemi rzucającą dokoła jakby błagała ratunku, niemal gwałtem wciągnęła do izby siostra Anna..., prowadząc wprost do księżnej. Zbliżywszy się do niej, blada jak trup, Bianka z lekkim wykrzykiem boleści, padła na kolana i omdlała.

Nim się na ratunek zebrano, księżna Jadwiga krokiem powolnym podeszła ku niej — patrząc ciągle na zemdloną.

Wzrok ten sam już zdawał się działać na nią, — z wolna poczęła się przebudzać jak ze snu, zmienione jej lice wypogodziło się, uspokoiło, rozjaśniło... Otwarte powieki skierowała na księżnę, która wciąż na nią patrząc objęła zlekka za głowę a potem ręce na niej położywszy i zatrzymując długo modlić się zaczęła cicho.

W izbie milczenie się stało takie, iż szept jej słyszać było. Wszyscy patrzali na to powitanie przybyłej sieroty, nie wiedząc i nie rozumiejąc co to było. Postrzegli tylko jakby cud, łatwo pojętny, wystraszona, omdlała kobieta, wróciła do życia inną zupełnie, zwyciężoną, posłuszną...

Wzrok ten, modlitwa czy ręce które na niej spoczęły zmieniły biedną Biankę, budziła się istotą nową. Obawa ustępowała, dziwny spokój i ubłogosławienie malowało się w rozpromienionej twarzyczce...

Stała teraz posłuszna przed panią swą, która jeszcze tem wejrzeniem czarownem dokonywała swego dzieła... Wzrok jej sięgał do głębi duszy. Widać było że Bianka chciała go może uniknąć, lecz nie mogła... — Oczy jej zamykały się powiekami i podnosiły mimowolnie...

— Dziecię moje, wychowanico drogiej siostry nieszczęśliwej, za którą modłę się codzień — bądź pozdrowiona! — odezwała się do niej księżna głosem powolnym i łagodnym. — Wszystkie twe męczarnie skończyły się, matkę znajdziesz we mnie, a Bóg ojcem ci będzie...

Przybyłam tu po ciebie, bo mi aniołowie niebiescy oznajmili iż wczoraj stanęłyście pod tym dachem. Nie chciałam stracić i chwili! Idź, dziecię moje, w pokoju, pokrzep się snem, ukój modlitwą...

To mówiąc krzyż zakreśliła nad jej głową...

Mszczuj który zdala patrzył na to, jeszcze większą uczuł trwogę widząc jaką potęgę miała ta pobożna niewiasta. Bianki poznać nie mógł gdy pokłękłszy zwróciła się nazad z siostrą Anną do wnętrza zamku. Szła posłuszna, nie podnosząc oczu, nie chcąc już nic od ludzi, upojona, oczarowana...

Księżna wiodła za nią oczyma aż póki drzwi się za niemi nie zamknęły.

Naówczas zwróciła się do męża, z kilką słowy, których on wysłuchał z pokorą i rozrzewnieniem. Widać było po nim, że tęsknił za tą dawną towarzyszką, matką swych sześciorga dzieci, która go teraz za męża znać nie chciała...

Gdy na jego starej twarzy rozczulenie się malowało i jakby błaganie o litość, z surowego oblicza ks. Jadwigi wiał chłód i jakby politowanie.

On jeszcze tak świętym jak ona być nie umiał, dlatego nie chciała go spotykać inaczej jak w obec ludzi. — Ilekroć usiłował zbliżyć się ku niej, księżna cofała się... Ani widok tego dworca w którym lata długie przeżyła z nim, ani wspomnienie dzieci, ani błaganie starego o litość i słowo pociechy, nie mogły jej rozbroić.

Wieczny rozbrat uczyniła ze wszystkim co ziemskim było... Przeszłość którą Henryk przypominał ze łzami, dla niej była ciemną, smutną, upokarzającą.

Stojąca za nią zakonnica która jej towarzyszyła, siostra w Bogu i sługa, Domna, patrzyła, z założonemi na piersi rękami na to co ją tu otaczało z takim samym lub straszniejszym jeszcze chłodem..., i pogardą...

Lecz ani postawa, ani wejrzenie tej drugiej — nie czyniły tego wrażenia, jakiego każdy doznawał patrząc na księżnę. Domna była pospolitą niewiastą, nałamaną do klasztorного posłuszeństwa, duch ten jaki promieniał z ks. Jadwigi, nie mieszkał w niej.

Rozmowa z ks. Henrykiem była krótką, żona umyślnie się jej przeciągnąć nie dała.

Z kolei podchodzili i przybliżali się ku niej duchowni, z prośbami jedni, drudzy z podziękowaniem.

Nie wiadomo kto zawiadomił księżnę, iż siostra Anna z Bianką przez Mszczuja zostały ocalone od zbójców. — Powiódłszy oczyma po izbie tym samym wzrokiem wieszczym, jakim patrzyła na Biankę, trafiła na Mszczuja i odgadła go.

Zdała skłoniła zlekka głowę pozdrawiając, co Waligórę trwogą znowu przejęło, i zwracając się do męża, rzekła mu, iż słuszną jest aby starał się szlachetnego rycerza wynagrodzić.

Książę Henryk o niczem się nie zdawał wiedzieć, usłyszał to zdumiony, lecz posłuszny zawsze, skłonił głowę tylko na znak że rozkaz spełni.

Waligóra tak był zmięszany iż nie słyszał nic.

W tem Peregryn, przypomniał księciu posła Biskupa Iwona, który czekał na posłuchanie.

Lecz właśnie księżna wychodziła na modlitwę do kaplicy i mąż do progu ją przeprowadził.

Wróciwszy dopiero, powołał do siebie Mszczuja.

Ochmistrz mu zapewne oznajmić musiał iż poseł po niemiecku nie umiał, gdyż do zbliżającego się książe z trudnością przemówił bardzo połamaną już polszczyzną, która mu z wielką przychodziła trudnością. Wieść z nim rozmowę wśród otaczających nieznanymi ludźmi Mszczuj nie mógł. Pokłoniwszy się więc żądał chwili na osobności. Niechętnie jakoś zgodził się na to ks. Henryk, i po namyśle zwrócił się do innych drzwi prowadząc za sobą Waligórę. Przeszedłszy podsienie, wprowadził go książe do sypialni...

Tu znowu żywotowi jaki prowadził mąż pobożnej Jadwigi zdumieć się musiał Mszczuj. — Izba niewielka z lożem twardem, z obrazami świętych na ścianach, z klęcznikiem, nad którym wisiała dyscyplina ostremi zakończona drutami, z podłogą zimną i niepokrytą niczem, bez ogniska, — pozbawiona wszelkich ozdób i sprzętu rycerskiego, — ledwie się zdała wchodzącemu możliwą dla książe. Lecz książe ten był już anachoretą.

Był nim, a jednak chwilami wśród rozmowy zdało się jakby pokutnika dawny człowiek zwyciężał... Pobożność tę znosił on, pracował nad nią, lecz z głębin duszy nie wyszła u niego... Czuć było że go przygniatała.

Mszczuj oddał mu list biskupi, na który popatrzywszy trochę, Henryk położył go na stronie.

— Mówcie mi ustnie, co do mnie macie — odezwał się, — a naprzód o pobożnym Pasterzu waszym, którego niech Bóg błogosławi...

— Iwo zasyła W. Miłości pozdrowienie i błogosławieństwo, — rzekł Mszczuj. — Od Światopełka i Odonicza otrzymaliśmy złe wieści. Pierwszy z nich wylamuje się od opłaty i posłuszeństwa, drugi Laskonogiego nęka i panu naszemu grozi. Obu potrzeba ukarać i wojnę tę skończyć. Na Waszą Miłość pan nasz Leszek rachuje, i do braterskiej jego pomocy się odzywa...

Henryk zamyślił się.

— Jakto? wojna? czegoż chcecie? posiłków?? — zapytał chmurno.

— Spodziewa się Biskup Iwo jej uniknąć — rzekł Mszczuj — znajdują się może środki na ukrócenie zuchwalstwa bez oręża, lecz na to potrzeba abyśmy pewni byli że nas sprzymierzeńcy nie opuszczą, że W. Miłość nie przeciw nam będziesz lecz z nami.

Książę popatrzał bystro.

— Leszek powinien wiedzieć, — rzekł, — żem ja mu braterstwo poprzysiągł, a com rzekł, wzywając na świadectwo Boga w Trójcy świętej jedyne, tego dotrzymam święcie.

— Tęgośmy się po pobożnym panu spodziewali — odparł Mszczuj. — Więc oznajmić tylko chcieliśmy iż na Leszka spiski się knują, aby one i tu kogo wciągnąć się nie ważyły. Jaksowie z nienawiści ku Biskupowi, z pomsty przeciw niemu, wszyscy się jednoczą...

— Cóż Jaksowie mogą? — odrzekł książe Henryk... — garść ich jest.

— Światopełka za głowę mają — dodał Waligóra.

— Odonicz gorszy od niego — odparł książe. — Krew w nim ta ojcowska, co to się niegdyś naprzeciw własnego rodzica podniosła. Laskonogi mu nie sprostą, bo łagodny jest i dobry... a Odonicz plugawy i zdrażliwy...

To mówiąc książe Henryk oparł się o stół ze znużenia, potoczył wzrokiem.

— Na list biskupi, — rzekł, — kanclerz mój odpowie. Zatrzymajcie się i spocznijcie tu... miłym mi gościem będziecie.

Wtem przypomniał sobie książe ocalone niewiasty i należną nagrodę.

— Winienem wam za mężstwo wasze choć wdzięczną pamiątkę — odezwał się, — boście ocalili miłą żonę mojej sierotę.

— Miłościwy panie, — żywo począł Mszczuj, — to rycerska sprawa za którą się nie należy. Za kogokolwiekbyś byłbym dobył miecza...

Książę Henryk uderzył go po ramieniu i uśmiechnął się.

— Prawy z was żołnierz stary — rzekł. — Dawniej to i ja się rycerskiemu rado-
wałem rzemiosłu, dziś, inny wiek, myśli inne... Marność to są wszystko... panowanie,
rozkazowanie, szermierki i wojny, gdy na chwałę Bożą nie służą!

Ręką zamachnął w powietrzu.

— Powiał na nas z tą świętą niewiastą duch Boży, spadły z oczów łuski — przejrze-
liśmy... Imię Pańskie niech będzie błogosławione!

Mówił i wzdychał, jakby mu przecież tych czasów starych, rycerskich żal było...

I drugi raz uderzywszy przyjacielsko Mszczuja po ramieniu pożegnał go z tem, aby
sobie wczasu użył i spoczywał...

Waligórze zaś w tej niemczyźnie która go dusiła tak było jakby go kto w ukrop wsa-
dził. Chciał się wyrwać co rychlej. — Nie odpowiedział nic wyszedł, myśląc tylko
o odwrocie, gdy Peregryn czekający nań, ujął go i do stołu zmuszając poprowadził z sobą.

III

Jaszko wyruszył z Wrocławia do Płocka wprost, spodziewając się tam znaleźć ludzi po
swej myśli. Podłowczy księcia Konrada Gromaza był mu dobrze i poufale znany, bo Jaszko
z lepszych czasów miał po wszystkich kątach znajomości podstatkiem.

Nie były one wiele obiecujące, bo Jaksza najchętniej się wiązał z temi co do wypitej
i wybitej ochotni byli — ci go lubili on ich wzajem. Z poważniejszymi ludźmi nie do-
trzymał długo, i choć się na czas przystroił za męża na którym polegać było można, lada
co go czyniło jakim w istocie był. Podpiwszy ani języka strzymać, ani natury zwierzęcej,
namiętnej pohamować nie umiał.

Gromaza za dawnych lat, choć nieco starszy od Jaksy, takim bez mała był jak on.
Kumali się z sobą — ale, co się z nim teraz stało gdy lata trochę szal ostudziły? Jaszko nie
wiedział. Zawsze miał się do kogo udać w Płocku i kogo uczyć.

Nie tajno zresztą było że Konrad Mazowiecki, choć z Leszkiem trzymał, burczał i żalił
się na niego. Spodziewał się Jaszko usposobienie na dworze, na Mazurach znaleźć jakiego
mu było potrzeba.

Los nadarzył że o mil kilka od Płocka będąc, na drodze spotkał właśnie ciągnących
tamże Krzyżaków, którzy dość wolno podróż przez nieznanne odbywając kraje, naostatek
radzi się byli dobić do stolicy książęcej.

W podróży łącznie się robią znajomości, a choć poczet z którym jechał Jaszko wcale nie
był pokaźny, on sam też na gościńcowego łupieżcę więcej niż na prawego rycerza wyglądał,
— że języki umiał, wygadany był i kraj ten po trosze znał, Konrad von Landsberg i Otto
zawiazali z nim rozmowę. Potem popasali razem i bliższa zrobiła się znajomość.

Krzyżacy mieli nieco przesadne pojęcie o potędze księcia który im szerokie nadawał
kraje. Jaszko niechcący — wywiódł ich z tego błędu. Zasypano go pytaniami, ale że
karmiono i pojono, a oprócz tego na rękę mu było z niemi razem do Płocka zajechać,
Jaksza się do nich uwiązał.

O sobie jednak, jako ostrożny człowiek nie wiele im powiedział, — przyznał się że był
rycerzem (*Miles*) i że w życiu doznał niesprawiedliwości ludzkiej i nieszczęść, że szukał
teraz pomieszczenia i t. p.

Gdy się Płock ukazał ze swym zamkiem, ubogimi i niepokaźnymi kościołami, któ-
rych drewniane nowe wieżyczki ledwie się ponad dachy domostw trochę podnosiły w gó-
rę, bo je niedawno Prusacy spalili byli, — ze swemi chatami szaremi i ogrody nad brze-
giem Wisły rozrzuconemi, wielkie było Krzyżaków zdumienie... Zamek zdala wydał im
się mizerny, a wały sypane lichą obroną.

Murów choć jakie były na grodzie dostrzedz nie mogli zdaleka. Po niemieckich bur-
gach w kamień odzianych jak we zbroje, lichy i ubogo przedstawiał się im ten Płock,
a z niego Krzyżacy i o księciu wyciągali wnioski.

Pochmurniały im twarze dojeżdżając... Na gościńcu jeszcze natrafili komornika ksią-
żęcego, który do stadnin jechał. Ten na zapytanie o Konrada, odpowiedział im że go
w domu nie było i księżna tylko z dziećmi na grodzie mieszkała.

Jaszko dodał że i to jeszcze szczęście iż samą panią zastawali, bo niekiedy wszystek dwór z obawy napaści Prusaków chronił się do Wiskitek, Trojanowa lub w lasy do Warszowej.

Puściwszy Krzyżaków wprost na zamek, gdy sam nie miał prawa się tam rozgościć jak oni, Jaszko na Podzamczu wprosił się do chaty mieszczanina.

Tego dnia zaś znużony wielce, dał sobie wczas, siana kazał namościć w izbie, piwa grzanego napił się do poduszki, i chrapnął.

Słońce już było wysoko, gdy go chłopak zbudził oznajmując że na zamku popłoch był jakiś, jakby się na wycieczkę lub do obrony zbierano.

Odział się więc jak mógł najlepiej Jaszko i co żywiej pospieszył na zamek do Gromazy...

Zapytać chciał o niego u ludzi, ale ci jak oparzeni latali, i nikt na rozmowy czasu nie miał. Podwórza zamku wyglądały, jak gdy się nieprzyjaciela spodziewają. — Spędzano z paszy i noclegów stadniny, dobierano konie, z komór wyrzucano broń, topory, pałki, luki i żelaziwo. Włócznie stały stosami jak stożyska, a krzyku, wrzawy i lataniny tak było pełno, że na obcego wchodzącego nikt nie spojrział tak byli ludzie zajęci, pilną jakąś sprawą wojenną.

Oklep wysyłano co moment czeladź, do blizkich osad i przysiołków; gdzieindziej trąbili dziesiętnicy i sotnicy zwołując swoich. Kwapiono się niezmiernie. Wśród tych kup Jaszko próżno szukał znajomych sobie Krzyżaków, którzy musieli wygodnie po podróży spoczywać. Szło wśród tego zamieszania nie rażno, jak gdy głowy gdzie braknie.

Jednego i drugiego przechodząc zaczepiwszy o Gromazę, ledwie się Jaszko doprosił, że mu wskazano izbę na tyłach, gdzie go miał znaleźć. — Niedaleko ona była od psiarni którą podłowczy miał pod zarządkiem swoim. Z jednej strony komora dla sokołów, z drugiej parkan zamykający psy, których głosy zdala słycać było, w środku znajdowało się mieszkanie Gromazy.

Tu, chociaż nieco ludzi mniej i ciszej było, za to psiska wyły i ujadły... U drzwi wchodowych różnych sznurów i swór z żelaznemi obrączkami i obróżami wisiały pęki.

Gdy Jaszko wszedł do ciemnej i nie zbyt wonnej izby, w której chorych kilka psów spoczywało na słomie, naprzeciw niego wyrwał się pękaty, kuso odziany, w kaftanie skórzanym, na grubych nogach, czerwonej twarzy trędowatej mężczyzna, który kogoś innego spodziewał się widać, bo począł od klątwy.

— Dajeś zczesł!

Dopiero wymówiwszy słowa te przeznaczone dla psiarczyka, poznał obcego i osłupiał jął się mu przypatrywać.

— Jaszko! a toż to co?

— Stary Gromaza! toć ja...

Ściskać się poczęli.

— A u nas tu słycać było, — odezwał się łowczy, — że ty w Czechach, łapę ssiesz...

— Jużem się wyrwał! — odparł Jaszko, — ale o tem potem. Co u was za zamęt! Co się dzieje!

— U nas mało kiedy inaczej — krzyknął Gromaza — albo Prusacy na karku, albo już na nas wsiedli... Uciekaj do lasu, pędź na błota! Spokojnie jednej nocy nie wyspać!

A tu miłościwego pana nie ma, i rycerze niemieccy wczora przyjechali w gościnę, w sam czas gdy myby z domu radzi drapnąć.

— A gdzież książe? — spytał Jaszko.

Gromaza ruszył ramionami.

— Mnie się on nie spowiadał gdy jechał — rzekł. — Nie ma tego zwyczaju... Coś mu przypadnie, ruszy w świat... potem gdy się go najmniej spodziewają, jak piorun wpada nazad.

O! już tu u nas życie!

— Cóż Prusacy grożą? — spytał Jaszko.

— Nie grożą ale już na granicy lupią — zawołał Gromaza, — jak im zasmakuje nasze mięso, gotowi i pod Płock...

— Któż u was hetmani gdy księcia nie ma?

Na to pytanie Gromaza ramionami zzymnął.

— Kto będzie dowodził, nie wiem, — rzekł i zniżył głos. — Od czasu jak nam nie stało Krystyna z Ostrowa Wojewody, nie mamy nikogo...

Rozśmiał się złośliwie...

— Chyba ks. Czapla weźmie na się zbroję...

I wnet poprawił się łowczy.

— Mnie co do tego? u mnie aby psy a sokoły zdrowe były... i żeby dali dla nich strawę... a mnie co trzeba?... Chodźże do izby — dodał, — przysiądziesz na ławie, znajdę i kubek miodu...

Otworzył drzwiczki małe do alkierza, gdzie już tylko jednego psa leżącego na ziemi zastali. Ten zobaczywszy nieznanego człowieka zaburczał, odebrał rozkaz by milczał i spać się położył.

Komora była mała, na pół posłaniem zajęta, czuć w niej było świeżo lichy wyprawne skórki lisie, które wiązkami na ścianie były pozawieszane. W rogu stoliczek mały, u ściany ława drżąca na kółkach..., prostą chatę przypominały.

Podłowczy książęcy nie był bardzo wspaniale wyposażony, ale naówczas nie wiele wymagano, a Gromaza był skąpy i o wygody nie dbał.

Obejrzał się Jaszko po nie wiele obiecującej komorze... i przysiadł w kącie.

— A co! — bąknął, — możebym i ja się wam tu na co zdał teraz, boć żołnierzem jestem.

Gromaza popatrzał nań i nieśmiało bąknął.

— Poczekajże abyś miał z kim iść. — Nasze mazowieckie rycerstwo, choć po niego rozesłano, zbieży w lasy a nie pokwapi się do nas...

— A toż dla czego? — zapytał Jaszko, — ludzie przecie bitni i do ucierania się gotowi.

Gromaza pochylił mu się do ucha i śmiejąc się szeptał.

— Toście nie słyszeli jak książę Konrad sobie począł ze swojemi ziemiany??

— Nie.

— Trochę temu już dawno, ale ziemianie takich rzeczy nie zapominają, — mówił podłowczy, — Prusacy nas, jak to ich obyczaj osaczyli, podrapali i książę się im obiecał wykupić... Co miał robić? Życie trzeba było unieść. Przyszła godzina wypłaty — nie wiem czy w skarbie zabrakło, czy książę zły był na ziemiany że się nie bronili. Zwołał ich tu do Płocka jak na wiec. Myśleli panowie rycerstwo że im da jakie swobody albo ugości... Tymczasem gdy na zamek się zebrałi, książę im konie wszystkie i szaty kazał zabrać i odesłał jako wykup Prusakom. Niebożęta piechoto i bez opończy powrócili do dworów.

Otóż teraz gdy ich na nieprzyjaciela wołają, nie bardzo spieszą...

Jaszko się śmiał.

— Dobrze im tak, a czemu się od Prusaków nie bronili! — zawołał.

— My się teraz bez nich obejdziemy pono — dodał Gromaza. — Książę chciał zakon rycerski założyć przeciw pogan, ale się nam Dobrzyńscy nie udali, powołał Niemców co bywali w Jerozolimie i z pogany się znają. Jakci siądą na granicy, będziemy za niemi jak za ścianą.

— Wczoraj jechałem z niemi — odparł Jaszko, — dwu ich prawda jest zbrojnych doskonale i prawych rycerzy, pacholkiwie też niczego, chłop w chłopu, ale prędko ich nie stanie...

— Ci tylko na zwiady przyszli — odparł Gromaza dobywając z pod ławy dzban i częstując gościa...

Jaszko powoli cmoktał myśląc.

— Jeżeli na Prusaków się będzie wybierać — rzekł, — ja też nie mam co robić, poszedłbym.

Podłowczy głową tylko potrząsnął.

— Czemu nie — przebąknął trochę skłopotany, — tylko to — widzicie, miłośnicy mój — bardzo głośna była ta wasza przygoda na granicy, coście to Odrowążów dali wyrzezać... a sami się schronili...

Jaszko zapłonął i podskoczył ku niemu.

— Czyż ty nie wiesz jak było, — zawołał — toć nie z tchórzostwa pierzchnęli my — chcieliśmy się pozbyć Odrowążów, bo ich nam było nadto, i daliśmy ich na łup...

— Ludzie to wiedzą, przerwał Gromaza, — tylko że i z tem nie ma się co chwalić. Więc jakbyście się zaciągać chcieli, lepiej insze imię weźmijcie.

— I jam także myślał już — potwierdził Jaksza, — nie rażno mi z tem, gdyby o mnie gadali...

Pomilczeli trochę.

— Z kim tu gadać? — spytał Jaszko...

— Ja nic nie wiem — odezwał się Gromaza... — Widzi mi się że ci Niemcy co tu przybyli będą sami gospodarzyć i dowodzić, bo nie ma komu...

Jaszko wychylił miód... i wstał z ławy.

— Pójdę ich pomacam — rzekł... — a co zyszczę, z tem przyjdę do ciebie... Ty na Prusaków nie pójdiesz?

Gromaza potrząsał głową i pokazał na brzuch gruby...

— Niech każdy swojego pilnuje — na wilki, na niedźwiedzie, na lisy, jam zawsze gotowy, a co do mnie te bezbożne Prusaki należą? Skóry z nich nie zdjąć i wyprawna małoby się na co zdała..., ze psy na nich nie rażno, a ja innego wojska nie mam krom czteronogich.

Jaszko wyszedł.

Znowu się musiał przedzierać przez ludzi, nim do dworu się dostał w którym Niemcy gościli, ale tu ich nie było, poszli do księżnej Agaty, która ich przyjmować miała... W dziedzińcu Ottona von Saleiden przypóźniego spotkawszy, i kilka słów z nim zamieniwszy, Jaszko za nim do izby pociągnął.

Stał tu już Konrad w pełnej zbroi, w płaszczu, z hełmem w rękę oczekując na księżnę... Izba wielka niska, ciemna, pozawieszana była oponami, dosyć ozdobna, lecz duszno w niej było i nieczysto.

Na oponach, skórach, na zbrojach, poosiadał pył, z ław spadały kobierce i poduszki, nieład był jakiś i zaniedbanie. Obok bardzo kosztownych tkanin wisiały liche i stare...

Księżnej Agaty nie było tu jeszcze, i chudy, blady, z wejrzeniem kocim, ale oczyma bystremi, przymilający się do zbytku rycerzom stał mąż w sukni duchownej.

Miał na szyi krzyż, a na palcu pierścień, który tylko prałatom wolno nosić było. Pod płaszczykiem też biała rokieta widniała, bo się na przyjęcie zakonników ustroił. Twarz niemila, przebiegłością nacechowana, ruchoma i zmieniająca się, przybierała to wyraz pokory wielkiej, to jakiejś obojętności samolubnej. Chociaż nieco dalej stał pierwsze tu miejsce zajmować mający prawo Biskup Jan Gozdawa, starzec już wiekiem pochylony. — Prałat ten zastępował jego i księżnę i zastępować się zdał gospodarza.

Był to sławny, naówczas jeszcze ulubieniec księcia, ks. Jan Czapla, nauczyciel synów Konrada, doradca jego i prawa ręka, któremu głos powszechny przypisywał smutny, niezasłużony koniec męznego Krystyna Wojewody..., tego Konrad do więzienia rzucił, oślepić dał i w końcu zabić.

Był to pierwszy głośny czyn okrucieństwa, którym młody pan rządu swe napiętnował... Mówiono po cichu że ks. Czapla, zazdrozcząc wpływu Wojewodzie, a sam chcąc mieć przewagę na dworze, był do tego czynu poduszczycielem i doradcą.

Biskup przypatrywał się Krzyżakom, ich rycerskiej postawie i nieznanemu strojowi, — i stał na uboczu opierając się na kleryku, który mu towarzyszył.

Oprócz niego przytomnym był kasztelan płocki Wit z Chotla, człek też niemłody, krzepki jeszcze, lecz nieśmiały i niemowny. Ten to głowę gładził, to brody poprawiał.

Było i innych wielu urzędników dworu i kapelanów kilku, i komorników dosyć co się Krzyżakom chcieli przypatrzeć.

Jaszko łatwo się mógł ukryć w tym zbiorowisku i stanął za Niemcami, nie wysuwając naprzód.

Dobry czas czekać musieli niżeli księżna, która się na przyjęcie tych gości z całym przepychem wschodnim, do jakiego na Rusi nawykła, wystroiła, — weszła ze dworem swym i dziećmi starszemi... Jaszko jej nigdy nie widział... Wydała mu się poważną bardzo, lecz w twarzy jej niewieściej dobroci, łagodności i skromności wcale nie dostrzegł. Zmęczona nieco, nie zbyt już kwitnąca, chociaż tuszy znacznej i silnie zbudowana, księżna Agata miała w ustach i oczach wyraz zimny a surowy. Gdy milczała wargi jej zacinały się, a brwi ściągały i na czole występowały fałdy groźne...

Księżna wyszła w sukni ciężkiej jedwabnej, cała obwieszona łańcuchami, ręce mając pierścieniami okryte, głowę ubraną w przepaski kamieniami wysadzane. Nawet pas jej i obówie świeciło od złota i kamieni.

Z dumą wystąpiła witając rycerzy, a że po niemiecku mówiła mało, ks. Czapla odezwał się za nią, wyrażając radość z ich przybycia a razem smutek że pana nie zastali i właśnie w taką godzinę się tu znaleźli, gdy pruski napad nie dozwalał ich tak przyjąć jakby chciano.

Konrad von Landsberg, który zdawał się dzicz ową lekceważyć, a chciał się znaleźć po rycersku, odpowiedział scholastykowi tem że w lepszej chwili przybyć nie mogli — i radzi będą pomódz do odparcia pogan...

Wit z Chotla wniósł się dając wiedzieć że najezdniczy w dosyć znacznej liczbie byli, i po swojemu kawał już kraju spustoszyli. — Na obciążonych łupem zdawało się możliwem napaść z nienacka i pogromić.

Po krótkiej naradzie z Ottonem, brat Konrad powtórnie oświadczył się z gotowością — towarzyszenia i przewodniczenia wyprawie.

Księżna Agata przyjęła to bardzo wdzięcznie. Siły na odparcie najazdu już się zbierały, oddawała je rycerzom niemieckim pod ich rozporządzenie.

Nie było chwili do stracenia, gdyż zbiegi przybyli rano z okolic spustoszonych, opowiadali że Prusacy ciągle się w głąb Mazowsza posuwają.

Krzyżacy zaledwie przyjęli wezwanie do stołu, który już dla nich był przygotowany, i natychmiast sposobić się chcieli do tej wycieczki...

Księżna sama powiodła ich do jadalni, w której tak samo jak z ubraniem wystąpić chciała z bogactwy. Dobyto więc ze skarbcza wielką ilość starych, ciężkich, zaśniedziałych sreber, których nawet dobrze oczyścić nie miano czasu. Było ich więcej niż potrzeba, widocznie na okaz..., ale jadło i napoje nie odpowiadały zastawie.

Z księżną na dwór przybyły zwyczajne i potrawy ruskie, bardzo różne od tych do jakich byli Krzyżacy przywykli. — Inne jadło po domowemu było przyprawne, niektóre przysmaki po niemiecku.

Troisty ten charakter miał i dwór księcia Konrada, polski potroszę, ruski i niemiecki zarazem. Tego ostatniego żywiołu, jak po wszystkich książęcych i tu było dosyć. Umieli się wcisnąć ci nauczyciele i dozorczy, bez których zdało się wówczas że się obejść niepodobna. Trzy te języki, z dodatkiem łacińskiego, którym się duchowieństwo, zwłaszcza obce posługiwało, krzyżowały się u stołu, słyhać je było wszędzie. Wprawdzie czeladź po polsku mówiła, lecz im kto stał wyżej tem się więcej swej mowy wystrzegał, bo nie wydawała się dosyć szlachetną, dość światową — była to mowa ludu — zwano ją pogardliwie — pospolitą, a każdy wyróżnić się chciał i nie być pospolitym...

Jaszko zdała się trzymając, nie narzucając dostojnikom, razem z pomniejszym rycerstwem się umieścić, przypatrywał się a słuchał.

Nie wiele mógł skorzystać, bo ze wszech stron tylko obawę Prusaków słyhać było i opowiadania o ich zuchwalstwie, z drugiej zaś strony odgrążania się Krzyżaków. Dopytywali oni o sposób wojowania pogan, o ich broń, i liczbę — zbrojnych.

Wit z Chotla o tej ostatniej powiedzieć nie umiał, rachowano ją bardzo różnie, kupy były wielkie, ale według niego niesworne, bezładne... Za cały oręż służyły im pałki, topory, miecze od Pomorzan nabywane, łuki i proce, małe pociski z twardego drzewa... Znaczniejsza część miała walczyć mało odziana, na w pół naga... Zbroi u nich tylko u dowódców nieco być miało. Wprawdzie w pierwszej napaści rzucali się wściekle, walczyli zajadle, lecz byle popłoch padł na nich, uchodzili bezładnie.

Brat Konrad, wysłuchawszy tego opowiadania, zaręczał że dobrze zbrojne rycerstwo niemieckie, żelazem okute, sprosta małą garścią temu tłumowi, a kilkudziesięciu knechtów seciny ich pędzić będzie.

Otto von Saleiden mniej obiecywał, wstrzemięźliwszy był — lecz i ten nie zdawał się wątpić iż im podolają.

Czasu obiadu jeszcze, dawano znać że gromady wojska, które ściągano z bliższych gródków i po osadach, nadchodziły... Dnia tego wyruszyć na Prusaków już było niepodobna, czekano na posiłki nowe, ale nazajutrz ze dniem Krzyżacy wyciągnąć chcieli.

Jaszko powiedział sobie że pójdzie z niemi. Nie miał nic lepszego do roboty. W ten sposób mógł się zasłużyć księciu, i albo u niego umieścić, lub przynajmniej mieć czas do rozpatrzenia się.

Jak skoro rozchodzić się zaczęto, Jaksza wrócił do swojego Gromazy, który też był podjadł ze dworem, i popijał czekając nań.

Poczęli sobie przy dzbanku stare przypominać dzieje, lepsze i weselsze czasy. — Korzystając z coraz skłonniejszego do wywnętrzenia się usposobienia Gromazy, Jaszko zagadnął o księcia Konrada.

— Ten kiedyś panować będzie, — rzekł, — bo ma męztwo i wolę własną... Jemuby Kraków należał nie Leszkowi, który do panowania smaku nie ma, a księżom nad sobą daje przewodzić. Ale też Krakowianie już go mają dosyć.

— Hę? — ozwał się Gromaza. — To stara wiadoma rzecz, że oni długo jednego nie lubią. Naszemu panu śmieje się Kraków!!

— Byle chciał! — zawołał Jaksza.

— Mało tego jednak — rzekł Gromaza, — nas tu wasz Leszek tak wlepił w ręce pruskie, że się ruszyć nie ma sposobu. Miał rozum, bo gdyby Konradowi ręce rozwiązano... nie dalby mu siedzieć spokojnie...

Otóż na to nam ci Niemcy jerozolimscy potrzebni — dodał Gromaza — jak oni nas od pogan zastąpią!! hm! hm!

— Ja wam powiadam byle chciał! — mruknął Jaksza okiem dając znak...

— A ja wam mówię że chce! — rozśmiał się Gromaza — byle mógł. — Księżna pani nasza też wołałaby siedzieć na Krakowie, bo dumna jest... Ona też coś znaczy.

Jaszko po długiej naradzie z przyjacielem poszedł się jeszcze rozmówić z Konradem, potem do gospody wyleżeć, a jak świt... trzeba było na koń i w pole. Prusacy byli niedaleko...

Mało tam kto spał tej nocy na zamku, bo ciągle to przybywały poczty, to słano na zwiady, to języka przynoszono, a drudzy się sposobili. Jeszcze nie szarzało gdy się rogi dokoła odzywać zaczęły, nawołując ludzi, knechty już gotowe stały w dziedzińcu, konie posiadlane... Jaszko się ze swemi do Niemców przyczepił, i miał iść z niemi.

Wit z Chotla, który na grodzie gospodarzył wśród tego zamachu wielkiego na nieprzyjaciela ledwie się doprosić mógł aby mu tyle zostawiono co koniecznie potrzeba było dla bezpieczeństwa zamkowego.

Księżna Agata, choć nie zbyt bojaźliwa, nie dozwalała Płocka ogałacać zupełnie, bo odsieczy i męża nie wiedziała kiedyby się mogła spodziewać.

Po wyruszeniu znaczniejszej części sił z grodu, nastąpiła tu jakaś złowroga cisza i pustka... Dniało, gdy z góry zamkowej można było dojrzeć wysuwające się w pole pułki, na których czele jechali Konrad i Otto... Knechci nieśli chorągiew zakonu, pierwszy raz nad tą ziemią powiewającą. Zdąła, niewyraźna brzmiała pobożna pieśń niemiecka, i nucenie a wykrzyki Mazurów, którym serca i ochoty dodawali Niemcy.

Jakiś czas widać ich było przeciągających polami, potem zaczęli tonąć w lesie czarnym który ich całkiem pochłonął... Zamczysko stało jak opustoszone, nieme i dzwony dwu kościołów wołały tylko na modlitwę za tych co przeciw poganom wyruszyli.

Księżna Agata spoglądała z okna za odchodzącymi, patrzyła długo zadumana, namarszczona, gniewna;... a gdy ks. Czapla przyszedł jej oznajmić, iż wojska wielkiem męztwem zagrane poszły z błogosławieństwem kościoła po pewne zwycięstwo, odpowiedziała mu głośno.

— Zdałby się teraz Krystyn z Ostrowa!!

Ks. scholastyk którego twarz błąda zarumieniła się aż do siności, zrozumiał ten wyrzut, zlekka się pokłonił i wyszedł z izby...

Ani tego, ani następnego dnia wieści żadnej od wojska nie było. Wieśniacy z okolic przybywający rozpowiadali najsprzeczniesze rzeczy, to o zbliżających się Prusakach, to o ucieczce ich na samą pogłoskę że im czoło stawić miano.

Przynoszono księżnej te słuchy z Podzamcza — lecz pewnej wiadomości czekano na próżno.

Trzeciego dnia wieczorem niepokój coraz większy zaczął obejmować księżnę. Roześlała ludzi aby księcia szukali, czekała posła jakiego od wojska... — napróżno. Słońce już zachodzić miało, gdy Gromaza, który stał na czatach w bramie zamkowej, postrzegł na polu konnego, który w cwał pędził ku miastu... Zdąła rozpoznać było trudno jeźdźca, lecz zdawał się zbrojny i odziany jakby do wojska należał...

Znikł mu on za chatami i ogrodami na czas krótki, a wnet tentent konia oznajmił, że się ku zamkowi zbliżał. Wybiegł za wał naprzeciw niemu Gromaza i postrzegł już nadciągającego Jaszka, który zaledwie rozpędzonego konia mógł wstrzymać.

Gdy go ściągnął gwałtownie poznawszy podłowczego, koń padł na cztery nogi wysilony, i Jaszko też na ziemię z nim się obalił.

Już pytać go spojrzawszy nań nie potrzebował Gromaza. Jaksza miał posieczoną zbroję, podarte suknie, głowę obnażoną, ręce krwawe...

Gdy podłowczy podbiegł aby mu rękę podać i pomódz do podniesienia się — Jaszko ledwie miał siłę zawołać...

— Padli wszyscy!! jam ledwie z życiem uszedł.

Załamnął ręce Gromaza — gdy w tem ks. Czapła, zdala postrzegłszy też jeźdźca, nadbiegł ku niemu...

Tuż i inna gawiedź zamkowa zbierać się zaczęła... Lecz z Jaszka, jakby się wysilił na tych słów kilka dobyć już nic nie było podobna. Musiano go jak nieżywego wziąć na ręce i zanieść do komory we wrotach, gdzie go rzeźwić i poić zaczęli ludzie, aby mógł coś więcej powiedzieć...

Na grodzie popłoch się stał straszny, jak gdyby już zwyciężkie tłumy Prusaków nań ciągnęły. Zamykano wrota, obwoływały się strażce...; ludzie biegali jak oszaleli.

Jaszko nierychło mógł rozpowiedzieć co widział — bitwa miała trwać zajadła niemal dzień cały. Cudów męztwa dokazywali, jak opowiadał, on i Krzyżacy, lecz siła napastników była przemagająca, niezliczona, i w końcu pokonała... Knechci niemieccy paść mieli wszyscy, Konrad i Otto, okryci ranami, zgnieceni zostali na pobojuwisku — resztki Mazurów rozproszyły się po lasach...

Z opowiadania Jaksy wyrozumieć jednak dawało się że Prusacy też ponieśli straty wielkie, i dalej w kraj na pustoszenie go posuwać się już pewnie nie będą śmieli.

Gdy dano znać księżnie o tem, sama zbiegła do wrót, aby z ust Jaksy posłyszeć straszną wiadomość, załamnąła ręce, zaczęła płakać i zawodzić.

Ostatnia nadzieja jaką pokładano w rycerzach niemieckich zawiodła, sam zakon straciwszy najdzielniejszych swych dwu wysłańców, mógł się cofnąć i odmówić pomocy...

Zebrano radę natychmiast... Wit z Chotla, ofiarował się z garścią pozostałą na zamku jechać przynajmniej ciała poległych niemieckich rycerzy odzyskać, aby je chrześcijańskim uczczono pogrzebem. — Mówiono za i przeciw... Jaszko choć ranny i bezsilny, gotów był prowadzić i wskazać pobojuwisko...

Cała noc upłynęła w narzekaniach i sprzeczkach. Jeden ks. Czapła nie ukazywał się już księżnie pod pozorem że młodych swych uczniów strzedz musiał. Nad rankiem Wit ruszył z zamku, bo i duchowieństwo i Biskup nalegało aby braci zakonnych ciała odszukać koniecznie. Jaszka nie potrzebowano brać za przewodnika, gdyż z opisu jego łatwo odgadywano miejsce potyczki. Rannego i potluczonego podłowczy zabrał do siebie...

Drugiego dnia wszakże umierający Jaszko, wstał z barłogu i zażądał się napić...

Gromaza zaręczał że jak tylko pragnienie się znalazło, nic mu już nie będzie. Jakoż wieczorem siedzieli przy dzbanku, a kości na ziemi świadczyły iż Jaszko się dobrze posilił. Opowiadał teraz o swych męźnych czynach i strasliwej mocy pobitych nieprzyjaciół.

— Ależ to jak komu szczęście — dodał Gromaza. — Raz uciekłeś od Prusaków umyślnie a oto teraz wtóry z musu — dość że bez uciekania się nie obeszło.

Omało między dobrymi przyjaciółmi z powodu tej uwagi podłowczego nie przyszło do kłótni, Jaszko się jednak dał zagodzić...

Dano znać że na wozach przywieziono Konrada i Ottona. Wysłany po nich Wit z Chotla, znalazł jeszcze dających znaki życia... Oba acz okrutnie pokaleczeni, w zbrojach które im pałki pruskie powcisnęły do kości, dyszeli jeszcze...

Natychmiast księżna sama i cały dwór jej, duchowni, komornicy, kto tylko czuł się do tego zdatnym, zajęli się jak najpilniej rannymi. — Wezwano baby z ziołami, księży którzy się cokolwiek na lekach rozumieli, księżna nie odstępowała od ich łoża...

Mała i słaba nazajutrz była nadzieja że się przy życiu utrzymają.

O Jaszku nikt nie myślał, ale on o sobie sam pieczę miał pilną. Na usposobienie umysłów wpłynęło i to że Prusacy po krwawym boju cofnęli się w lasy swoje, gdyż straty ponieśli wielkie.

Konrad i Otto już dawali znaki życia wracającego, które wróżyć dozwalało że uzdrowić ich będzie można, gdy jednego wieczora z utęsknieniem oczekiwany książę Konrad na zamek powrócił. Po drodze już dowiedział się o wszystkim. Nie tyle go bolał napad i spustoszenie części ziem co nieszczęście jakie Krzyżaków spotkało.

Zaledwie przestąpił próg zamkowy, gdy cisza jaka tu panowała zmieniła się w dziwny zamęt strwożonych ludzi... Sam Gromaza nawet inaczej chodził i trwożnie przysłuchiwał się i oglądał... Czuć było pana w domu.

IV

Jaszko ranny ochotnik, towarzysz w boju Krzyżaków, choć z placu umknął szczęśliwie, zyskał sobie jednak pewne względy. Znano go tu pod imieniem przybranem Budziwoja, krakowianina... Księżna Agata posyłała się o niego dowiadywać, słano mu baby i leki, Gromaza karmił i zabawiał, nie było mu źle, a czas tu strawiony dozwalał się rozpatrzyć i rozsluchać. Nie chciał z guzami i sińcami stawiać się na dwór Odonicza lub Światopełka, chodził więc obwiązany, stękając — i gdzie mógł ucha nastawiał. A że natura ciągnie wilka do lasa, choć jużby wiek był powinien krewkość uśmierzyć, jak tylko cokolwiek wydobrzezał, znalazł drogę ku terenom księżnej, gdzie piękne go wabiły rusinki.

Wprawdzie dwór ten żeński był surowo trzymany w odrębnym budynku, do którego przystępu mężczyznom wzbraniano, ale niemniej co wieczora panny wychodziły ku wrotom, a młodzież do nich zabiegała.

Tu się zabawiano w śmieszki, zagadki, śpiewki nucone pół głosem, rozmowy ciche, a ludzie opowiadali iż niekiedy i wewnątrz teremów umiano się zakradać.

Trafiały się z tego burze, gdy pani starsza schwytała dziewczęta na gorącym uczynku umizgów z chłopcami, rozbiegało się co żyło, szły skargi do ochmistrza — lecz to ledwie na chwilę pomagało... Po kilku dniach ten i ów podkraść się znowu ku wrotom, młodzi włączili na parkany... i śmiechy puste wracały.

Ochmistrzynią nad niewieścim dworem była średnich lat, niegdyś bardzo piękna, teraz jeszcze powabna i urodziwa, biała i rumiana, pięknego wzrostu i tuszy Sońka, ulubienica księżnej Agaty, przywieziona z nią z Rusi, która surowo trzymała dziewczęta, ale sama lubiła też się pośmiać i — nie gardziła mężkiem towarzystwem.

Przez nią, jak mówiono, wiele się na tym dworze robiło. Sońka wiedziała o wszystkim, a kogo zgubić chciała, prędzej później padał ofiarą. — Jeżeli ząb do kogo miała, nigdy mu tego nie ukazywała, owszem była uprzejmą i chłodną — a gdy nieprzyjaciel nie miał się na baczości, — niespodzianie spadała nań mściwa jej ręka.

Najmożniejsi tu ludzie szanowali ją i lękali się jej, sam ks. Czapla ulubieniec księcia, Wit z Chotła, inni urzędnicy dworu, kapelani, rycerstwo klaniali się tej ukrytej potędze, która nie występowała nigdy jawnie, ale każdy się z nią musiał rachować.

Parę razy księżna troskliwa o wszystkich co z Krzyżakami byli w tej bitwie, posłała samą Sońkę do Jaszka, aby się o stan jego dowiedzieć. Jaksza, który od Gromazy słyszał jakie znaczenie miała na dworze starsza pani, tak się jej umiał przypochlebić, tak podżyłej babie młode okazywał dla jej wdzięków uwielbienie, iż ją sobie pozyskał. Więc już bez rozkazu księżnej zachodziła tu czasem rannemu rycerzowi przynosząc jadło lub napój. Owych czasów medycyna chorych i pokaleczonych co najsilniejszym jadem i staremi, mocnymi napojami leczyła. — Udaowało się to z ludźmi zahartowanymi, u których natura oddziaływała skutecznie. Sońki miód i mięsiwa bardzo dobrze wpływały na Jaszka... a jak skoro mógł się odziać przystojniej, poszedł podziękować opiekunce. Raz wpuszczony do niej umiał się dowiedzieć o godzinach, w których swobodniejszą była, i ciągnął na rozmowy, w których obok zalotów, na jakie się zdobywał, mnogie inne wiadomości wyciągał.

— Jaki to z ciebie lis! — mówił mu podłowczy — jak to ty umiał trafić do kurnika!! Hej! hej!

Jaszko śmiał się bo mu to pochlebiało.

— E! Gromaza, — odpowiadał, — tyś także powinien wiedzieć że przez baby się najlepiej robi wszystko. Języka nie umieją utrzymać, a oczy mają lepsze od naszych!

— E! Sońka mądra! — mówił Gromaza... — U naszego księcia zje licha kto co wyrobi, ona ma takie sposoby, że i do niego, jak nie sama to przez księżną drogę znajdzie...

Ze starszą panią począwszy od pochlebstw, Jaszko doszedł do poufałych zwierzeń. O szarej godzinie, po cichu, mówił jej o dworze Leszka, badając jakie dlań uczucia miał Konrad; przyznał się przed nią że on w Krakowie wysiedzieć nie mógł, że ciągnął do Światopełka i Odonicza i życzył księciu Konradowi panowania...

Raz i drugi zwierzył się jej z tem... nic mu nie odpowiedziała, lecz w parę dni, raz gdy u Gromazy siedział, przyszedł komornik książęcy i powiedział mu że pan po wałach chodzi, a radby go widział.

Jemu też tego było potrzeba tylko. Księcia prawie jak nie znał, zdaleka więc, nim się zbliżył z pokłonem, począł mu się przypatrywać.

Leszkowego brata, poznać w nim było trudno. Twarz była inna, namarszczona, po-fałdowana, niespokojna, namiętna, w oczach coś dzikiego, ruchy miał gwałtowne, mowę krótką i ostrą. Widać w nim było że podrażniony mógł się szaleństwa i wściekłości dopuścić... Duma wydymała mu usta, — na małe księstwo za wielkim panem chciał się okazywać.

Jaszko nie bez pewnej obawy zbliżyć się począł ku niemu..., tak jak się do zwierza straszego podchodzi, oglądając aby mieć odwrót pewny. Słyszał bowiem że za ks. Konradem nigdy nikt ręczyć nie mógł jak się skończy rozmowa, a rycerz nie rycerz, swój czy cudzy u niego to nic nie znaczyło. Wieszal i ścinał gdy w gniew wpadł, w gniew zaś wpadał bardzo łatwo...

Jaszko nie wiedział po co był zawołany, mogła to być nagroda lub chęć zaciągnięcia go w służbę, czego teraz, gdy się tu rozpatrzył nie bardzo życzył sobie, a odmówić łaski ks. Konrada — strach było.

Książę chodząc gdy postrzegł Jakse, także mu pilno się przyglądał.

Pokłonił się zdala Jaszko.

— Słyszę z Krakowa jedziecie? — zapytał.

— Tak jest, miłościwy panie, — odparł Jaksa.

— Co ci tam nie w smak było?

Jaksa zmilczał.

— Człek po świecie, zwyczajnie, szuka szczęścia, a często znajdzie guza, — odparł Jaszko... — Z założonemi rękami siedzieć rycerskiemu człowiekowi nudzi się, a u nas nie ma co robić. Nasz pan spokojnego ducha jest.

Konrad bystro nań popatrzal.

Jaszko nie dając czasu na odpowiedź, pospieszył dodać.

— Mam powinowatych u księcia Władysława i Światopełka, tam kord się przyda zawsze, i myślę ciągnąć...

Zmarszczył się książę Konrad.

— Znalazłeś się po rycersku żeś i po drodze nie próżnował — rzekł żywo. — He? oto macie wy krakowianie próbkę jak mnie na moim dziale obsadzono... Leszek siedzi spokojny, a ja tu na rubieży oganiać się muszę iż tchnąć nie mam czasu... Byli poganie już w Płocku, spalili kościół i wieżę, splondrowali miasto... nabrali mi dziewczek i młodzieży. Takie moje tu życie!! Prawda — dobre?

Jaszko głowę schylił.

— Choć W. Miłości z tem niewygodnie, — rzekł, — ale coby robił nasz pan, gdyby go tu posadzono?? Właśnie to przystało dla rycerza siedzieć tam gdzie o walkę nietrudno...

Prawda że i Leszek bił się dobrze pod Zawichostem, męztwa mu nie brak, ale serca do tych spraw nie ma...

Spojrząwszy na Konrada, Jaszko spuścił oczy prędko, tak dziwne spotkał wejrzenie jego, badające i złośliwe.

— Gdybym ja siedział na Krakowie, — zawołał śmiejąc się, — wiedziałbym ja co tam robić. — Jest i tam co poczynać!!

Nastawił pięść podnosząc ją do góry.

— Tam u was książę nie książę, sługą być musi Biskupa i rycerstwa... — zawołał groźnie. — Iwo jak jego poprzednicy dobrał sobie takiego co go słucha. Niechbym ja tam był, musiałyby Biskup siedzieć w kościele, a rycerstwo iść tam gdziebym kazał...

Jaszskowi zrobiło się ciepło koło serca, boć też poczuwał się do tego rycerstwa, lecz minę zrobiwszy układną — rzekł.

— Juści głowy słuchać trzeba — i musi jeden rządzić a rozkazywać.

— A u was przez to źle, — dodał Konrad, — że rozkazują wszyscy, i nikt nie słucha... Jeden Biskup tam pan i jego klechy...

Ja z księdzem w kościele żyję zgodnie, ale żeby mi ów nosa wtykał, gdzie jemu nie należy — tego nie dam!!

Wyrwało się to wyznanie księciu jakby mimowolnie, wnet języka zakąsił i zmilkł.

— Jechać chcecie do Władysława młodszego i do Światopełka? — zapytał.

— Tak jest miłościwy panie...

— A toć oni z twoim panem nie są w zgodzie?

Na to pytanie Jaszko nie odpowiedział, milczenie zań mówiło. Konrad je zrozumiał.

— Ja się do ich sporów mięszać nie myślę — dodał po przestanku — mam dosyć biedy w domu.

Ale z pomocą rycerzy niemieckich, którzy mężni są i dobrą broń mają, a naprowadzą mi najlepszych swoich ludzi z całych Niemiec, przecież rady dam... Siedzieć będę za niemi jak za murem.

Jaszko głową potwierdzał...

Książę namyślił się trochę i powtórzył dobitnie.

— Ja się tam w te spory z Leszkiem Światopełkowe nie będę wtrącał. Światopełk mi na Pomorzu potrzebniejszy...

Jaksa zrozumiał iż to co słyszał mógł powtórzyć i uśmiechem a ruchem rąk gorliwie potakiwał. Rozmowa byłaby może przeciągnęła się i jeszcze stała otwartszą, gdyby książę, który na wałach stał nie postrzegł czegoś w oddaleniu. Zwrócił się natychmiast cały, ku orszakowi, który właśnie wjeżdżał we wrota.

Na koniu niewielkim, kosmatym, silnym, okrytym sukmem ukazał się mąż siwy, z włosiem dość długim i brodą, twarzą zarumienioną znużeniem podróży i pośpiechem. — Ze stroju choć nie zupełnie prawidłowego domyślać się trzeba było duchownego, bo i krzyż miał na piersiach, i na palcu ów ogromny pierścień ciężki, jaki Biskupi nosili... Z ramion mu spadał płaszcz kunami podszyty, czerwono-fioletowej barwy... Za nim jechało dwóch księży czarno ubranych, jeden mnich biały, i orszak wcale do innych ówczesnych niepodobny.

Składał się on z ludzi niewielkiego wzrostu, krępych, dość dziki mających pozór, w spiczastych czapkach, z drewnianymi klockami za pas pozatykanymi, z obnażonymi piersiami, nogami w skórzniach oplatanych, pałkami na plecach, toporami u siadzeń.

Z obu stron starca jakby na straży, na małych krzepkich koniach, tak samo przyodzianych, lecz dostatniej, z wyższymi kołpakami na głowach — postępowało dwu starych także — brodatych i dumnie patrzących ludzi...

Z tyłu dopiero kilku jeźdźców lepiej zbrojnych ciągnęło. Jeden z księży na ręku wiózł dużą księgę z klamrami, drugi miał przed sobą jedwabny wór krzyżem czerwonym oznaczony.

Książę zobaczywszy przybyłych pospieszył sam na przyjęcie. Lecz nie widać w nim było tej pokory i uległości jaką Leszek ukazywał duchowieństwu... Konrad wszędzie i zawsze czuł się panem...

Nim się zbliżył, Biskupa już z konia zszadono, ks. Czapła z drugiej strony, znalazł się na przyjęcie jego.

Był to Krystyan Biskup i apostoł Prus, gorliwy ów kapłan, któremu pierwsze może ziarna kielkujące chrześcijaństwa winna była ta ziemia. Poprzednicy jego umrzeć tylko umieli za wiarę, on silił się na to aby ona tu żyła i kwitła.

Lecz nie szło mu o nic więcej tylko o jedną chwałę Bożą, nie chodziło nawet o zasługę aby on ją zaszczepił, gotów był się usunąć, ustąpić, pomagać, byle „synów Beliala” jak zwał Prusaków w swej księdze, którą o nich napisał (*Liber filiorum Belial*) — na łono Kościoła pociągnąć.

Z jego to porady, po rozbiciu braci Dobrzyńskich, Konrad powołał Krzyżaków — a dowiedziawszy się jaki ich tu los spotkał na wstępie, pobożny i pełen zapału Biskup przybywał, aby wyrazić swój żal — i starać się podnieść męztwo rycerzy.

Zaledwie z konia zsiadłszy, niespokojny wielce, Biskup począł nie o księcia pytać ale o rannych, nie myślał o powitaniu pana, i kazał się wieść do łoża braci szpitala P. Maryi.

Z pierwszych słów poznał w nim zdala patrzący Jaszko, męża jakich pod suknią duchowną mało się znajduje; ożywionego duchem rozplomienionym do namiętności...

— Gdzie są? Żyją? Będą żyć? Prowadźcie mnie do nich? — wołał nagłąc na ks. Czaplę, który stał dosyć zimny.

Wtem i ks. Konrad nadszedł, pokłonił się Biskupowi, który go prędko pobłogosławił, mruknął coś tylko i wykrzyknął.

— Trzeba było aby ich na pierwszym kroku spotkało to nieszczęście!

— Ojcie Krystyanie — przerwał Konrad — mnie się zda że żadnego nieszczęścia nie ma. Księżna ich wyprawiła nieopatrznie, dwu ich i kilkunastu knechtów na to mrówię... Ze sławą walczyli, zwyciężyć nie mogli, a Prusakom tak się dali we znaki, że nierychło przyjdą na te gody! A co się ich samych tycze... żyć będą i męztwa nie stracą!

Biskup wznosił ręce ku niebu... Szli ku dworowi. Konrad korzystając z usposobienia Krystyana, dołożył zaraz.

— Idzie o to aby Mistrz zakonu widząc że tu sprawa trudna, nie położył nam zbyt ciężkich warunków...

Krystyan stanął.

— Byle kraj podbili i nawrócili, nie ma najcięższych którychbyśmy nie przyjęli — począł gorąco. — Nie wiem co W. Miłość postanowisz, ale ja coście mi z łaski waszej dali i dozwolili, ziemie, dziesięciny, własności, prawa — ja im oddaję wszystko! wszystko! nie wyjmuję nic! Niech biorą co chcą! Nie można zbyt drogo opłacić zbawienia dusz...

Konrad się uśmiechnął i popatrzył na Biskupa.

— No, czy tam po nich dużo dusz w ciele zostanie — nie wiem — rzekł z szyderstwem wesolem... — Brat Konrad powiada że poczną od wieszania, a skończą na ścinaniu. Jest tego przekonania iż nie nawracać trzeba a wytępić...

Biskup pogładził brodę i westchnął.

— Synowie Beliala! — zamruczał. — Synowie Beliala! plemię zakamieniałe w swem bałwochwalstwie... jeżeli nie ma ujrzeć światła, niechaj idzie w ciemności wieczne!!

Ofiara jaka w zapale wielkim wyrwała się z ust Biskupowi Krystyanowi, zdała się przyjemnie bardzo brzmieć w uszach ks. Konrada... Zmniejszyła ona może to co on ze swej strony miał dać Zakonowi.

— Jeżeli macie tę pobożną chęć uczynienia dla Zakonu daru tak znacznego, — podchwycił książę... oznajmijcież im to zaraz... aby dodać ochoty... Gdy zobaczą że Zakon ich posiadać może tyle ziemi między Wisłą, Ossą i Drwęcą, nabędą męztwa i gorliwości...

Biskup tak spieszył do łoża rannych iż nie odpowiadając nawet księciu, jak spragniony do wody, — ile mógł znużony wydolać, podwajał kroku...

Nim mu drzwi otwarto, sam rękę podniósł ku nim, tak pilno mu było...

W izbie dosyć obszernej, do której wchodził, na wysoko wysłanych posłaniach, okrytych futrami i bielizną okrwawioną, leżeli dwaj rycerze. Z nich Konrad już był więcej sił odzyskał, w pół leżał, na pół siedział sparty o wezglowie, blada jego twarz zasepiona, odznaczała się wyrazem dumy i powagi. Otto drzemał i dopiero usłyszawszy wchodzących, nieco obwiązana wznosił głowę, która zaraz bezsilna opadła...

Biskup wchodził z rękami podniesionymi, prawdziwy kapłan, zapominający o świecie całym, dla sprawy Chrystusowej. Widok tych ludzi w duszy mu całą towarzyszył drogę — patrzył na nich i płakał jadąc, teraz ujrzawszy Konrada von Landsberg, płakać zaczął ale z radości niemal.

— Bądźcie pozdrowieni rycerze Chrystusowi, — zawołał, — którzyście krwią swą dali świadectwo prawdzie — niech Bóg wszechmocny balsamem łaski swej zgoi rany wasze... Ja ubogi Pasterz tej ziemi którą wy Zbawicielowi zdobyć macie przychodzę rany wasze ucałować, bo święte są!

Mówił z takim zapalem iż gorącość uczucia siły mu odjęła...

Konrad skłonił głowę, ogień ten przelał się w niego...

— Ojcie wielceby — rzekł — bracia tych co z Saracenami walczyli o grób Chrystusowy, nie oszczędzimy krwi dla chwały Pana, którego krzyż nosimy.

I wskazał na płaszcz rozpostarty na łożu, na którym krzyż, czarny już przyozdobiony we środku Cesarskim orłem w złotym polu, szeroko się rozkładał.

Biskup stał nad łożami, spoglądając na obu modląc się po cichu i lzy ocierając...

— Potężnych tu jak wy mężów potrzeba na tę dziczą od Saracenów gorszą i upartszą!! Panami was tu uczynimy, aby z wami zapanował Chrystus...

Konrad Landsberg potrząsnął głową.

— Już mamy doświadczenie iż sprawa łatwą nie będzie, — rzekł. — Wilcze to plemię jako dzikiego zwierza ścigać potrzeba. Litość byłaby występkiem. Mordować i palić — niszczyć i wybijać!

Oczy mu się zaiskrzyły, lecz zaraz za pierś pochwycić się musiał zbolalą. — Zwyciężyli nas liczbą, natłokiem tylko — dodał — ale za krew naszą siła tam też trupa legło!

Otto podniósł się z łoża i słabym głosem, dorzucił.

— Jak muchy padali... ale i rój much gdy nasiądzie człowieka, może go obalić... Tak my padliśmy!

— Bóg was ocalił na chwałę swą, — odezwał się Biskup — będziecie żyć i zwalczyć synów Beliala...

Książę Konrad stojący obok Biskupa — dodał mieszając się do rozmowy.

— Brat Konrad słusność ma — ich trzeba wytępić nie nawracać... Chrzczą się ale im wiary dać nie można, przysięgają i zdradzają.

— Jako psy wracają do wyrzutów swych — zamruczał Landsberg.

— Raduje się serce moje — zawołał Biskup Krystyan, — widząc was niezachwianemi. Zakon wasz tu urosnie w siłę i spotężnieje. Ziemi mieć będziecie dosyć, nasypimy wam srebra, pobudujemy grody, panami staniecie się, ale nie opuszczajcie nas. Jam tu życie przepłakał nie mogąc uczynić nic, ledwie kilku Kunigasów ich nawrócić potrafiłem...

— Boście słowem nawracać chcieli jak ludzi, gdy ich mieczem trzeba tępić jak zwierzęta! — wykrzyknął Landsberg.

Tak u łoża dwu rannych przeciągała się rozmowa, opowiadali walkę swą, wrażenie jakie na nich tłum uczynił, nędzne opisując uzbrojenie, a razem wściekłość ludzi co padali nie ważąc nic życia...

Wywiódł wręście książę Konrad gościa swojego do izb w których nań księżna czekała, i gdzie towarzyszący Krystyanowi dwaj Kunigasowie pruscy, nawróceni, których on z sobą woził wszędzie, — stali także. Byli to ze starszyny pruskiej przed laty już zdobyci z wielką pracą Biskupa, Kunigasy znękane, co się oprzeć nie mogli, a pragnęli ocalić. Biskup niegdy woził ich już na pokaz do Rzymu Papieżowi — i zwolna jak dzikiego zwierza przyswoił.

Wystawieni tu na wejrzenia ludzi w których nieprzyjaciół swych czuli, dwaj starcy wzdychali ciężko upokorzeni. Coś w nich było z tych królów barbarzyńskich, których posągi z poobcinanymi rękami w starym leżą Rzymie... Budzili litość i mogli wznieść obawę, z pod przybranej pokory, czuć było w nich kipiącą krew dumną, która gotową była nagle rozpaczą wytrysnąć.

Księżna Agata na stojących u drzwi poglądała z mściwą pogardą, nikt do nich nie przemawiał słowa. Czekali na Biskupa, który jeden łagodniej się obchodził z niemi, byli jego trofeami i jedyną zdobyczą. Woził ich z sobą wszędzie, może z obawy, aby zostawieni sobie w chwili zwątpienia mu nie uszli...

Gdy Biskup wszedł do izby, oba Kunigasy odżyli, bezpieczniejsi się czując... On ich książętami nazywał, pieścił, obchodził się łagodnie i jeden okazywał cokolwiek serca. Bolało ich tylko że wszędzie na widok wystawiani, sromać się musieli swej niewoli...

Jaszko wcisnął się był z innymi do wielkiej izby aby jak najwięcej widzieć i podłuchać...

Chciał korzystać z ostatnich dni pobytu swojego, bo już zamysłał o dalszej podróży.

Skrzyżowały mu się tylko plany jego, gdyż do Odonicza chciał się dostać a tu mu zaręczano, iż obłożony był w Ujściu czy innym zameczku jakimś przez Laskonogiego. Nie chciał Jaszko życia stawiać za to, aby się do niego dobić przez oblegających... Wieści chodziły różne, jedni powiadali że ściśniętym był i co chwila mógł się dostać w ręce przeciwnika, drudzy głosili iż przyczaiwszy się a dając oblegającym rozłożyć się niebacznie, nieochybnie ich rozprószy..., inni wręście twierdzili iż Uście dotąd obłożone nie było.

Laskonogi nie miał ani tej rzutności, ani tej przebiegłości co Odonicz... Duchowieństwo też na niego szemrało, bo choć je obdarzał, chciał mieć posłuszne... Ono zaś było naówczas potęgą tak wielką iż temu z kim trzymało na pewno wróżyć było można zwycięstwo...

Miał czas jeszcze do rozmyślenia Jaksą, bo wygoić się chciał przed ciężką podróżą, a i próżniaczy pobyt na zamku plockim, z wieczorami u Sonki dosyć mu smakował.

Gdyby nie pragnienie zemsty, które się w nim odzywało — Jaszko możeby był łatwiejsze przekładał umieszczenie się przy księciu Konradzie. Tu ludzi potrzebowano,

wziętoby go pewnie, lecz służba była nie zbyt bezpieczna. Ks. Konrad miał napady gniewu, w których nikogo nie szanował...

Pomiędzy Gromazą a izbą ochmistrzyni płynęły mu dni do namysłu pozostające, i Jaszko już poczynał zbierać się do podróży, gdy podłowczy jednego dnia mu szepnął, że mógłby się o Pomorzu coś dowiedzieć, bo właśnie na zamku człowiek się znajdował, który ztamtąd przybył...

Gromaza na zapytanie, kto i co — odpowiedzieć nie umiał, a głośno mówić nie chciał, pół gębkiem bąkał. Szedł więc Jaszko sam na zwiady.

Na dworze tego czasu ludzi obcych było wielu, przybywali i odjeżdżali posłańce różni — ks. Konrad krzątał się — komornicy byli w ruchu. O pomorzanach dowiedzieć się nie mógł Jaksza. Nikt o nich nie wiedział. Zwrócił się do Gromazy zadając, że mu bajkę splótl.

Podłowczy popatrzał nań z ukosa, nie odpowiedział nic.

— Jak nie ma, to nie ma — dokończył.

Wieczorem późno, starzy przyjaciele podpili, Jaszko gdy się rozochocił, dzikim się stawał i nikomu nie przebaczał.

— E! ty stary ślepcze — rzekł do Gromazy — gdzie się tobie tu pomorzanie przywidzieli...

Podłowczy się zarumienił.

— Nie jam ślepy, ale ty! — odparł — a i nosa nie masz...

Od słowa do słowa, o mało do zwady nie przyszło. Gromaza rozjątrzony mocno, wygadał się.

— Com mówił to prawda, ale musi być tajemnica — rzekł w końcu. — Ja pomorców po uzbrojeniu zaraz poznam... Oni miecze noszą inne, żelazo mają doskonałe i dużo takich rzeczy, o które u nas trudno. Do nich to wszystko morzem przychodzi. Zaraz ich zwąchałem, gdy nocą przyjechali, ale gdym spytał, okłamali mnie, że są jako żywo z Rusi. Niby ja tamtych też nie widziałem!! Starszy zaraz coś poszeptawszy z Witem, poszedł do księcia pana i siedział z nim do późnej nocy. Nazajutrz nie pokazywał się nigdzie, ludzi jego pochowali, ale na zamku są i jutro dopiero nocą pojedą precz...

— A no, milcz — dodał Gromaza — bo ja za ciebie pokutować nie chcę.

Jaszкови aż krew do głowy buchnęła. Zmiarkował, że nie lada człek musiał być co się tu tak krył a z księciem samym coś obradzał. Tegoż wieczora wsunął się Jaszko do ochmistrzyni i siedział u niej długo...

Uprosił ją, ażeby mu do owych z Pomorza pomogła, o których wiedział, bo się do nich właśnie chciał dostać. Czasu nie było do stracenia, gdy jak powiadał Gromaza, nazajutrz nocą mieli jechać. Sonka niewiele przyrzekając, wszakci, gdy powiedział ję Jaszko że rzecz trudna — odparła mu z dumą:

— Jak komu!!

Chciała tedy okazać, że dla niej nic trudnego nie było.

Jaszko czatował tylko.

Znał do tyła dwór pański, że się domyślał, gdzie ów gość tajemniczy się ukrywał — błędził w koło niespokojny. Około południa ochmistrzyni dała mu znak, poprowadziła ciemnymi zakamarkami aż do drzwi i otworzywszy je, wpuściła go.

Wchodząc, Jaszko zobaczył przed sobą stojącego słusznego wzrostu człowieka, smukłego, silnego, nie pierwszój już młodości, który rękę trzymał na mieczyku u pasa, niby dla bezpieczeństwa, lecz tak patrzył zuchwale, jakby się w świecie nikogo nie lękał.

Na pierwszy rzut oka poznał Jaszko, iż w istocie nie z lada kim miał do czynienia. Gość ów ubrany był bogato i patrzył nań z góry, jak pan co rozkazywać ma prawo. Brwi zmarszczone nad oczyma, dolna warga podniesiona w górę, pierś szeroka naprzód wystawiona, głowa odrzucona w tył — znamionowały władzcę który ani równych ni wyższych nad siebie znać nie chce.

— Ktoś ty? — zapytał stojący — co ty masz do czynienia na Pomorzu?

Mówiąc to patrzył, badał, oczyma niespokojnymi od stóp do głów mierzył Jaszka. Ten myślał już tylko czy kłamać ma, że Budziwojem jest, czy się opowiedzieć kim był w istocie.

Ostatnie zdało mu się lepszym na razie, domyślał się w tym jakimś panu, wielkiego urzędnika i prawej ręki Światopełka.

Począł więc:

— Jam tu jest z cudzem mianem — ale moje prawdziwe chcecie wiedzieć, tom Jaszko Jaksa Marków wojewodziński syn, ten sam którego Leszek zbeszcześcił za to, że Odrowążę mu przezemnie poginęli.

Słuchający krzyknął.

— Zaś! ty, Jaszko?

I zbliżył się ku niemu.

— Jam jest.

— A co tu robisz?

— Na Pomorze jadę do księcia do Światopelka, powinowatym mi przecie jest, swemu ginąć nie powinien dać.

Uśmiechnął się gość.

— Jam też Światopelkowy powinnym — rzekł — ale wara, by tu kto o mnie miał wiedzieć. Głowa by spadła temu, coby wydał.

Jaszko nie dał się zastraszyć.

— Swój swego nie wydaje — rzekł. — Jeżeli na Pomorze jedziecie, weźcie mnie. My też ze sobą powinowaci jesteśmy, nie powinniście odmawiać.

Namyślał się trochę nieznajomy pan.

— Mów mi o ojcu — odezwał się nieodpowiadając. Nie dał ci jakiego poselstwa?

— To, co mi dał księciu Światopelkowi odniosę — rzekł Jaszko.

— Wszystko jedno, chcesz bym cię wziął, to mów, jam ten, dla którego on nie ma tajemnic. Co on myśli ja wiem, a co ja chcę, on też.

Uśmiechał się.

— Ojciec mi mu kazał powiedzieć, że czas jarzmo zrzucić i Leszkowi koniec zrobić — rzekł Jaksa.

— Łatwo to rzec, a zrobić ciężej — odparł stojący — kogoż ojciec z sobą ma?

— Jaksów dosyć, a przyjacioly się znajdują — mówił Jaszko. — Odonicz ze Światopelkiem silni są, tutejszy pan bronić brata nie będzie.

Słyszając to nieznajomy głową tylko poruszył.

— Na co więcej? — dodał Jaszko. — Leszek łatwowierny, wziąć go łatwo... Albo to zamków i lochów nie ma gdzie go posadzić?

— Z lochów ludzie wychodzą — mruknął nieznajomy pan.

Po chwili milczenia uderzył go po ramieniu.

— Milczże tu z tém — dodał — a nocą, jeżeli ci się chce, możesz się przyłączyć do moich.

Jaszko się pokłonił dziękując.

— Wiele z sobą czeladzi masz? — zapytał — zwracając się pomorzanie.

— Kilkoro tego ledwie jest, bom się z Krakowa pokryjomu wymykał.

— Konie dobre?

— Nieustaną — rzekł Jaszko.

— Choćby noc i dzień!

Potwierdził to Jaksa.

— Idźże, a żeby o tem co ma być, nie wiedział nikt. Powiedz znajomym, że do Krakowa powracasz...

Wskazał mu na drzwi i palec położył na ustach. Jaszko się pokłonił i wyszedł.

Gdy w podwrocu ochłonął, sam się sobie dziwował. Nie był skłonnym przed ladakim się ukorzyć, a ten człek nieznany postawą i głosem tak nad nim zapanował, iż się przy nim czuł sługą. Nie wiedział kto był, dał z siebie wyciągnąć co tamten chciał, dał sobie rozkazywać i w zamian mało co zyskał. Gniewał się trochę na siebie, po niewczasie.

— A co? Gromaza? jużem się wylizal — rzekł powracając do izby, — darmo waszego chleba jeść nie chcę. Powrócę do Krakowa odpocząć.

— Z Bogiem! — odezwał się podłowczy — wybierz sobie tylko dzień dobry do wyjazdu, nie feralny... aby w drodze znów jakie licho nie spotkało. A pożegnaj się z Sonką jak należy, bo baba cię odkarmiła sobie od ust odejmując.

V

Waligóra musiał dzień następny przesiedzieć we Wrocławiu. Długo do wsi przywykły, wytrwać w zamkniętej izbie nie umiał, rozmową się zabawiać nie było z kim, doskwierało mu to, że naokoło niemiecką mowę nienawistną słyszał wszędzie.

Zawczasu więc zrana wysunął się z gospody na miasto, sam niewiedział dokąd i poco. Ludzie szli, powlókł się i on.

W ulicach spotykały go widoki osobliwe, od których był odwykły, albo ich nigdy nie oglądał.

Właśnie w rynek wyszedł, gdy na jednej z wieżyczek kościelnych we dzwon bić zaczęto, myślał że na nabożeństwo. Ludzie z domów wysuwać się zaczęli i wyglądać, niektórzy się pochowali zaraz, inni stali niepewni jakby w oczekiwaniu. Od kościoła idący ukazał się ksiądz w komży, chłopiec ze dzwonkiem, kleryk ze świecą w latarni. Szli pospiesznie, a tuż za nimi parami z domów wychodzący ustawiali się mieszczanie i złożywszy ręce, księdzu towarzyszyli.

Ksiądz szedł do chorego. Z każdego domostwa obowiązany był iść za nim, kto był pogotowiu... Procesja ta ledwie przeszła ulicę, gdy Waligóra kościół sobie przypomniawszy, zwrócił się ku niemu...

Tu znowu widok nań czekał inny... Tłum stał mnogi opasując dokoła drzwi, cisnąc się i słuchając, niektórzy klęczeli z rękami złożonymi.

Na stopniach do kościoła prowadzących, spostrzegł mnicha w komeszce i stule, z krzyżem w ręku, a przed nim białym obrusem okryty stół na którym były w bogatych oprawach skrzynki, pacyfikały i złote naczynia. Puszka z wydrążeniem na rzucanie groszy stała przed nim. Benedyktyn to był, mający pozwolenie zbierania jałmużny i ukazywania relikwii świętych, które woził z sobą. Jednym dozwalał się ich dotykać, całować, drugim przykładał je do głów i rąk, odczytując modlitwy. Chorzy, strapieni — ratunku potrzebujący, cisnęli się, chętną jałmużnę płacąc za nadzieję i — wiara ich uzdrawiała!

Relikwie były najrozmaitszego pochodzenia, z Francji i Włoch, ze skarbców kościelnych po okruszynie oddzielone, z kościoła w Corbii, Antwerpii, Hildesheimie, z Arras, z Bruges, z Trewiru i innych miejsc wslawionych niemi.

Mnich opowiadał o cudach za ich przyczyną dokonanych, w tłumie słyhać było jęczenia, płacze i głośne wykrzyki do Boga o miłosierdzie. Zastęp wielki kaleków po za tłumem stojący, czekał na swoją kolej, aby i on cząstkę łaski w ostatniem błogosławieństwie ogólnem otrzymał.

Mszczuj przecisnąwszy się do puszeki, w której składano ofiary, złożył w niej swoją, myśląc tęsknie o Białej Górze i o pozostawionych w niej dzieciach. Od kilku dni niepokój i tęsknota za niemi nie opuszczała go.

Dopełniwszy tego, zwrócił się zaraz w bok, aby tłumowi uniknąć i chciał precz iść, gdy tuż prawie, obok wystawy relikwii świętych, ujrzał z przestraczem u ściany, na małym podniesieniu stojącego człowieka, odzianego lichy, który za szyję obręczem żelaznym ujęty był i przykuty do słupa, a ręce miał w tył związane. Twarz jego już odrętwiała z umęczenia i sromu, była straszna wykrzywieniem zwierzęcem, oczy krwią nabiegłe, rozczochrany włos, otwarte usta z wargami spalonymi i nabrzmiałe żyły szyi — widok jego wstrętliwym czyniły. Był to pokutnik do kościelnej kuny za jawnogrzesznictwo wsadzony. Chociaż tłum go otaczał, nikt na niego nie zwracał uwagi, biedak stracił był poczucie wstydu i męczarnia ciała zwyciężyła mękę ducha.

Mszczuj co rychlej usunął się aby nie patrzeć na nieszczęśliwego, z którego żebractwo naigrawało się nielitościwie — a on ni czuć, ni wiedzieć o tem się nie zdawał.

Chciał bocznymi drzwiami wniknąć do kościoła, gdy poruszenie jakieś ludu przed relikwiami stojącego, i szmer, a potem nagle urwany głos benedyktyna, zmusiły go spojrzeć przez otwarte wrota ku rynkowi.

Od zamku ciągnął tu wprost orszak, w którym Waligóra ujrzał boso idącą księżnę Jadwigę z krzyżem w ręku, na który oczy miała zwrócone, odzież jej tego dnia była jeszcze prostsza, starą i wyszarzaną... na nogach zdala nawet widać było krwawe poranienia i nabrzmienia. Towarzyszka jej szła w ślad głośno śpiewając pieśń pobożną z nią razem.

Cały dwór księżnej pieszo także postępował za nią, a z tyłu czeladź prowadziła konie podróżne. Księżna pomimo pokaleczonych nóg i zimna szła jakby nie czuła ani bólu, ani

chłodu, z twarzą uweseloną, z oczyma jasnymi, w widocznym uniesieniu, które ją od ziemi odrywało.

Ujrawszy ją tłum, począł ustępować spiesźnie, benedyktyń z relikwiami i stołem usunął się tak, aby przejście do kościoła zostało wolnym.

Poznał Waligóra łatwo, iż księżna, która przybyła umyślnie z Trzebnicy dla zabrania Bianki niemogąc długo pozostać we Wrocławiu, tęskniąc za swym świętym przytułkiem, wracała już nazad do niego. Spodziewał się w orszaku ujrzeć tak cudownie wczoraj nawróconą sierotę i zdziwił się ani jej, ni siostry Anny nie widząc.

Naprzeciw pobożnej pani, wyszło już było duchowieństwo z krzyżem i święconą wodą. Benedyktyń też u drzwi stojący, pacyfikał do góry podniósł i błogosławił, lud padł na kolana. Cisza się stała wielka i śpiew tylko orszaku księżnej brzmiał tęskną jakąś jednostajną, płaczącą, błagającą nutą.

Po chwili wszyscy wtoczyli się do kościoła, gdzie chórem poczęli śpiewać wtorując księża.

Mszczuj się już nie mógł wcisnąć z tłoczącymi do środka i pozostał u drzwi z częścią orszaku księżnej. Posłyszawszy mówiących po polsku — a ciekaw będąc, co się stało z Bianką i jej towarzyszką, spytał po cichu jednego z ludzi.

— Chora ta siostra pono — odpowiedział mu — i nasza pani jej zabrać nie mogła!

Nie miał już do dłuższej rozmowy ochoty, i odwrócił się.

Z innymi ludźmi co się w ciasnym kościółku pomieścić nie mogli, Waligóra precz odszedł na miasto. Wahał się jeszcze, czy ma na gród iść domagać się odpowiedzi, czy powracać do domu, gdy pacholę szukające go nadbiegło.

— Z Krakowa posłaniec jest od biskupa! — rzekło zdyszane — czeka na was w domu.

Zdziwiony i trochę nastraszony, że go tak prędko gnano już posłem, Mszczuj zawrócił do gospody. Lękał się, czy co nie zaszło w Krakowie. Odwykły też był od coraz nowych widoków, od tego pośpiechu z jakim musiał i myśleć i poruszać się teraz.

W Białej Górze było inaczej. Nim doszedł do swjej gospody, we wrotach jej poznał już tego, co był za nim wyprawiony.

Służka to był biskupiego dworu, chodzący w sukni klero, a noszący dziwne i niepospolite imię *Cumquodeus*¹. Gawiedź przekręcając je na swój sposób zrobiła z niego „Kumkodesza”. Znali wszyscy tego nieboraka, którym biskup mimo jego powierzchowności niewdzięcznej chętnie się w różny sposób posługiwał. Gdzie tylko rozumu, przebiegłości a wypróbowanego trzeba było charakteru, tam Kumkodeszka posyłał.

Miał minę prostaczka i gluptaszka, mały był, chuderlawy, ale zwinny i wytrzymały na wszystko. Nikt go nie widział nigdy smutnym, ani rozpaczającym w najgorszych razach. Z twarzy bladej, płaskiej, małego nosa, a dużych pergaminowych uszu, wyglądało tylko dwoje oczek ciemnych, z których jedno najczęściej miał nałóg przymrużać.

Na dworze biskupim żartowano sobie często z Kumkodesza, za co się nie gniewał, a mimo to musiano się do niego uciekać, bo więcej umiał od innych. Biegły był w kaligrafii, list umiał ułożyć wedle prawideł wszelkich, dając mu foremną introdukcję, a że był razy kilka aż w Rzymie, we Francji i po Niemczech się trochę wałęsał, mówił wszystkimi językami, najpotrzebniejszymi po dworach.

W obejściu się z ludźmi ostrożny, trafny, pokorny — Kumkodesz był biskupowi niezbędnym i nie dawał mu się oddalać od siebie, chyba w ostateczności. Zobaczywszy go Waligóra, domyślił się, iż niemałej wagi poselstwo być musiało, kiedy z niem Kumkodesza wyprawiono.

Zdala już mały kleryk pozdrowiał długiemi na swój wzrost rękami wywijając i głowę ku ziemi skłaniając.

Mszczuj niechcąc z nim mówić przy ludziach, bo pełno było we wrotach ciekawych i próżniaków, wwiódł go do izby.

— Jego miłość, ojciec nasz, pozdrawia was — odezwał się Kumkodesz, stanąwszy u drzwi — śle wam błogosławieństwo i mnie na utrapienie wasze, abyście mieli więcej gąb do karmienia.

¹*Cumquodeus* — imię zmyślane nie jest. Wspomina je w IV. wieku Gregor. M. *Epist.* [red. WL: Gregorius Magnus, *Epistulae*, chodzi o jeden z listów papieża Grzegorza I Wielkiego (ok. 540–604), skierowany do Dominicusa, biskupa Kartaginy]. [przypis autorski]

Śmiał się kleryk, tak jak zwykł był ze wszystkiego.

— Macie pewnie coś do mnie — mruknął Waligóra.

— Niewiele... znajdzie się tam coś — rzekł Kumkodesz.

Twarz starego zdradzała taki niepokój, że kleryk miał sobie za najpierwszy obowiązek nieco go ukolysać i trwogę odpędzić.

— Nie stało się przecie u nas nic? — spytał Mszczuj.

— Bóg łaskaw! po staremu! — odparł Kumkodesz. — Ojciec nasz dobry, już po wyjeździe waszym pomyślał sobie — a możeby jemu ten kleryk biedota w drodze się przydał na co, choćby śmiechem go zabawiając. I ot, w pogoń mnie wyprawił.

Spojrzał nań, Mszczuj niedowierzająco przyglądał mu się.

Kumkodesz zatarł ręce i sukni poprawił.

— Jakby co czasem napisać trzeba było, albo przeczytać — dodał — ja wszystkie ich pisma i kruczki znam...

— Ale ja bo niedługo bawiąc, już powracać myślałem — odparł Waligóra. — To z czem mnie tu posłano sprawilem, spodziewam się, że mnie trzymać nie będą.

Kleryk pokiwał głową, coś niby chciał mówić i ociągał się.

— Jakbyście chcieli trochę spocząć a rozpatrzyć się tu — rzekł — toby też nie było od rzeczy.

— Ani od rzeczy, ani do rzeczy — odezwał się Mszczuj — bo ja tu już więcej ani zobaczę, ani się dowiem nad to, com widział i słyszał. — Byłem u księcia, spotkałem księżnę, pytałem, odpowiedziano mi... czegoż więcej trzeba...

— Pewnie — rzekł kleryk pospiesznie — miłość wasza lepiej wie co robić! Ale to tam z tego gadu człowiek niewiele wyciągnąć, ani w to wiele kłaść — możnaby popatrzeć co czyni.

— Oni tu nic nie robią, tylko się modlą i na niebo pracują — odparł Mszczuj...

— Ojciec nasz świątobliwy mówił mi, gdym się w drogę wybierał — dodał Kumkodesz — niech się tam stary nie spieszy, kości swoje szanuje, a... a...

Tu się zaciął, Mszczuj bliżej przystąpił.

— Cóż za — a? — spytał.

Kleryk głos zniżył.

— Możebyście ztąd do Poznania się przejechali, Laskonogiego pana Władysława zobaczyć i u niego spocząć też...

Mszczuj niecierpliwości swój nie mógł ukryć, usłyszawszy to żądanie, którego się nie spodziewał.

— A ja tam po co? — zawołał.

— Oczy, uszy i rozum wszędzie się przydadzą — odparł Kumkodesz. — Możeby i dobrze pana Władysława ubezpieczyć, żeby się z Odoniczem nie układał, bo mu nasz pan pomoże i podeprze go, a możeby dobrze widzieć co o nim jego rycerstwo trzyma i duchowni, a jak on tam stoi...

— Biskup sobie tego życzy? — zapytał zadumany Mszczuj.

— Tak ci jest, z tém mnie wysłał — szepnął kleryk — i kazał mi z wami i przy was być.

Waligóra ramionami ruszył.

— Pewnie żeś potrzebny przy mnie, bo więcej zobaczysz i posłyszysz aniżeli ja — rzekł spokojnie — a prawdę powiedziawszy, sambyś lepiej sprawił to poselstwo nademnie.

Kumkodesz się chwycił za głowę.

— Jezu miłosierny — wykrzyknął — co mówicie, a na co się urągacie biedocie mojej. — Jam ci głuptaszek boży, służka mały... chyba że jako drobne stworzenie wcisnę się łatwiej gdzie do kąta...

— Więc gdym już powracać miał — westchnął Mszczuj, — gnacie mnie dalej... do Poznania! Pana brata słuchać muszę... i pójdę wnet na gród domagać się odpowiedzi.

Kumkodesz głową potrząsł.

— Nie spieszcie, — Miłość Wasza — rzekł — abyśmy się w jakie podejrzenie nie dali. — Nawet widzi mi się gdy wyjeżdżać będziemy lepiej krakowską bramą wyruszyć dla niepoznaki, a potem nawrócić lasami...

Dokończywszy kleryk się ruszył jak do odejścia.

— Pozwolisz, — rzekł, — Miłość Wasza, abym ja tu sobie trochę poszalał, mam znajomych na biskupstwie, mam u czarnych i białych mnichów, znajdą się i na dworze, powlokę się na gawędę...

— Rób co chcesz — odparł Mszczuj...

Ledwie Kumkodesz odszedł, gdy Peregryn przybył z zamku z wezwaniem od księcia, bo gościa podejmować chciano jak najlepiej i do swego stołu Henryk zapraszał.

— Księżna pani odjechała? — zapytał Mszczuj.

— Tak, tak, ona tu długo nie bawi nigdy — westchnął Peregryn — święta niewiasta, lecz naszemu panu tęskno za nią, a litości nad nim nie ma. Prawda że i nad sobą. Ledwie próg przestąpiła nasz, całą noc spędziła na modlitwie w kaplicy nie chcąc zażyć spoczynku, a dziś nazad ruszyła...

I co miała zabrać tę po którą przybyła tu — i tego Pan Bóg nie dozwolił — bo owa wychowanka królowej Agnieszki ciężko zasłabła, leży w gorączce... Wczoraj była spokojną i zdrową, dziś chciała choć chora jechać z księżną, lecz siły jej nie starczyły, musiano ją tu zostawić do czasu...

Mszczuj w towarzystwie Peregryna jechał do zamku...

Tu mniej dziś zastali ludzi, dwór prawie codzienny księcia, przeważnie z Niemców złożony.

Książę sam tego dnia inaczej się wydał Waligórze. Za mnicha niemal go można wczoraj wziąć było, — teraz choć pobożnym zawsze okazać się starał, więcej mu charakteru rycerskiego wróciło.

Nie zupełnie w nim przykład żony i jej obyczaj stłumił naturę dawną. — Tak jak nad Dłubnią niegdyś trzeba było wpływu pobożnej Jadwigi, aby od zdobywania Krakowa odstąpił i teraz gdy bezpośrednio nie działała nań żona, mająca moc wielką, stary w nim człek się odzywał.

Weselszy był i butniejszy...

Waligóra słuchał i patrzył w duchu sobie mówiąc iż za prędko go wczoraj osądził.

Przyszła była właśnie wiadomość o przygodzie Krzyżaków po przybyciu ich do Płocka, o bitwie stoczonej z Prusakami, w której pierwsi zakonnicy szpitala P. Maryi, o mało nie zostali na placu.

Wszczęła się między Niemcami rozmowa żwawa o sposobach wojowania, o orężu, o wyprawach, a ks. Henryk co wczoraj sprawami rycerskimi całe się nie zajmował, dziś żywo je brał do serca.

Mszczuj siedział nie mówiąc nic, bo sławiono oręż niemiecki, uzbrojenie niemieckie, męztwo i sztukę wojowania Niemców, a to nań padało jak żarzewie gorące, i kilkakrotnie o mało się nie zdradził i nie wybuchnął.

Powszechne było zdanie, które i Henryk wypowiadał, że żaden naród przeciw orężowi niemieckiemu nie strzyma...

— To też, — dodał książę, — kto u nas rozum miał, ten ściągnął sobie z Niemiec posiłki. — Bez nichby się u nas nie utrzymało chrześcijaństwo, nie byłoby ani miecza, ani zbroi, ani nawet co wdziać na siebie...

Chociaż słowa te po niemiecku powiedział książę, a Mszczuj ciągle tak czynił jakby języka nie rozumiał, już mu tego było nadto... Krwią oblała się twarz i — zawołał.

— Mało co rozumiem co W. Miłość powiedzieliście — lecz jeźlim zrozumiał dobrze, powiem śmiało że trzymam inaczej.

Żyliżeśmy tu długie wieki bez Niemców i lepiejby nam było samym być... Nauczylibyśmy się z musu kować sobie oręż i zbroję, a nasi książęta pospolitą mową więcejby nawrócili niż cudzy apostołowie...

Ks. Henryk popatrzał na Waligórę, inni zamilkli zdziwieni i zgorzeleni... Czas jakiś siedzieli cicho, nie ważył się nikt, ani za ani przeciw. Szanowano gościa, który skończywszy mówić głowę zwiesił.

Książę nie sprzeciwił mu się, zadumał...

Co było swojaków na dworze, poprzebieranych wprawdzie i mówiących po niemiecku, ale w których jeszcze krew nie ostygła, a nie przerodziła się — wszyscy wdzięcznie spojrzeli na starego. — W mgnieniu oka jakby na dwa obozy podzielił się stół, poczuli się jedni obcymi, drudzy swojakami...

Ks. Henryk może dostrzegłszy to i chcąc zatrzeć wrażenie — rzekł śmiejąc się.

— Wolę ja ich mieć z sobą niż przeciw sobie!

Na tem się skończyło, bo już pacholęta misy niosły i ręczniki do umywania rąk, a drudzy z ław wstawali.

Waligóra też pokłon oddawszy ruszył się z siedzenia swego i z innymi do drugiej izby ustąpił.

Chciał zaraz do gospody wracać gdy Zbislaw, rycerz ślązki który zdala u stołu siedział, a do rozmowy się nie mięszał, zbliżył się do niego.

Był to stary wojownik, któremu choć sił ubywało, zbroję jeszcze nosił i w służbie stał. — Nie wiele on tu znaczył, bo Niemcy przed nim jak przed innymi prym brali i spychali ich na szary koniec. Staremu miło było posłyszeć że się ktoś ujął za tą sprawą, za którą tu już nikt nie śmiał podnosić głosu.

Dwu czy trzech jeszcze zdala stojących przysunęli się do Mszczuja, lecz przemówić otwarcie żaden nie chciał, Niemcy podejrzliwie na nich patrzyli. Waligóra czując to wpędce się wysliznął w podwórze, gdzie czeladź i konie stały i do gospody wrócił.

Na drodze go napędził Zbislaw Nieczuja i pozdrowił.

— Bóg zapłać żeście im nosa utarli — rzekł. — My tu już swoi nie śmiemy z niemi stanąć na równi — wszystko objęli, nam zostało tylko wymrzeć, by im ustąpić ziemi, która ich będzie...

Waligóra bał się rozmowy w ulicy, a słuchał chętnie.

Stary Zbislaw, jeszcze chętniej z żalem się wygadywał — na sercu mu dawno niewypowiadany leżał. Jechał więc do gospody i wszedł do niej za Waligórą.

— Taki nasz los, — dokończył wchodząc — rady nań nie damy. U nas na Ślązku oni już panami, a nie lepiej gdzieindziej. U Laskonogiego pełen ich dwór, u Płwacza drugie tyle, u ks. Konrada i starych i nowych kupa..., i w Krakowie też nie mało...

Załamał ręce...

— A młodzi książęta? — zapytał Waligóra.

— Niemki ich niańczyły, Niemcy uczyli, karmili oni, stróżowali, muszą tem być czego się nassali. U Żegoty Robaka gdy matka zawczasu umarła, mamki nie było, kozę dano córce aby ją karmiła... Całe życie potem koziego coś miała w sobie!! Tak i tu!

Książę Henryk jeszcze nas cierpi — a drugi nie chce znać...

Stękali tak długo — ale ani jeden, ani drugi nie widzieli sposobu by zaradzić temu!

Tyle tylko że żółć zrzucili z serca... Waligóra sam zostawszy u ognia zasępił się i myśłami pobiegł do swych dzieci...

Spartym tak na rękach ze zwisłą głową znalazł go powracający z wycieczki swej Kumkodesz, który widząc w izbie światło, przyszedł z pozdrowieniem.

Miał jak zawsze twarz wesołą i więcej jeszcze niż przedtem ożywioną.

Mszczuj się ku niemu zwrócił.

— Gdzieżeś był? — zapytał.

— Gdzem nie był? — odparł śmiejąc się kleryk, — w obu klasztorach, na biskupstwie, i na dworze książęcym — wszędzie... Dzięki Bogu tu nie źle słyhać, książę Henryk trzyma i trzymać będzie z nami...

— Tak się zda, — mruknął Mszczuj.

— A Konradowi nie dadzą Prusacy o złem myśleć — ciągle wesoło prawil kleryk...

— Ci niemieccy rycerze których sprowadził tymczasem mu nie wiele pomogą. Braci zakonnej przyszło tylko dwóch i kilkunastu knechtów... ano im się nie wiodło i po drodze i na miejscu... Nim dojechali do Płocka dwu młodych ochotników tak jak stracili, bo ich gdzieś rannych porzucić musieli. Powiadają że się nieopatrznie na łowy wybrali i dzik ich ciął obu...

Mszczuj słuchał obojętnie, lecz na myśl mu przyszło iż od Biskupa pod Białą Górą o Krzyżakach słyszał.

— Cóż się z temi rannymi stało? — spytał.

— Gdzieś ich, mówią, pod jakimś zamkiem rzucili na łaskę lub niełaskę Bożą, — odparł Kumkodesz. — Po drodze rozpowiadać mieli że zamek to jakiś był niegościnnie, bo ich tam nie chciano nawet chorych wpuścić...

Zamek niegościnnie Waligórze dał do myślenia... A nuż Niemcy zawędrowali pod Białą Górę, bo zamtąd niedaleko stali?

Nie było niebezpieczeństwa — lecz sama myśl że gdzieś tam na jego ziemi Niemcy mogli szukać przytułku — gniew budziła w Mszczuju. — Nuż ich tam kto ulitowawszy się przyjął...?

Myśli różne przewędrowały po głowie..., pochmurniał bardziej jeszcze...

Kleryk powtarzał co gdzie słyszał i był całę dobrej myśli. Widząc wreszcie że Mszczuj jakby drzemający nie odpowiada mu..., a mając w teże izbie przygotowane posłanie, usunął się na bok i klął do modlitwy...

Nazajutrz Wąligóra postanowił pożegnać księcia, nie chciał tu siedzieć dłużej, niepokój długo mu spać nie dał, obudził go za rania i pędził ztąd. Chciał zbyć drugie poselstwo, wrócić do Krakowa i wyprosić się do Białej Góry.

Książę Henryk dnia tego zawczasu wyruszył na polowanie, na grodzie było pusto. Peregryn nawet, który nigdy pana nie odstępował, pojechał z nim. O tem wszystkim Mszczuj dowiedział się dopiero na zamku pustym, ledwie znalazłszy sługę z którym się mógł swoim językiem rozmówić...

Już miał iść precz z narzekaniem na dzień stracony, gdy drzwi izby w której się zatrzymał, uchyliły się i dziewczę służebne dało mu znak aby za nią szedł. Nie wiedząc co to znaczyć miało, Wąligóra choć niechętnie, kroczył za nią. W pustej komorze drugiej nie było nikogo... Dziewczyna znikła. — Po chwili drzwi się otwały i krokiem chwiejnym weszła Bianka. Bledsza była jeszcze i bardziej zmizerowana, wylękała niż gdy ją widział w drodze... Z trwogą zbliżyła się ku niemu.

— Dzięki Bogu, zdrowie wam powraca — odezwał się Mszczuj poglądając na nią.

Szła zwolna jak upojona oburącz trzymając się za głowę.

— Zdrowie? choroba? — odparła — ja sama nie wiem co się dzieje ze mną? Ta pani ma władzę straszną, wczoraj przemieniła mnie, wzięła moją duszę ze mnie, wycisnęła ją jak chustę i stała się białą i czystą... Zapomniałam o wszystkim... nie chciałam nic tylko z nią być i zostać na wieki. Dopóki ona tu była, błogo mi było... gdy odeszła, czym się obudziła, czy śpię znów, czy roję, czy żyję, nie wiem. Pamięć i strach powracają... trwoga niewoli... Ona moją duszę weźmie ze mnie... Ratujcie mnie! A! tak się ma wielką!

Dziś znowu pamiętam i drzę! Niewola mnie czeka i ten sen co wczora... śmierć...

Mówiła, a Mszczuj stał, słuchał i — nie rozumiał.

Zdała mu się obłąkaną.

— Jakże jaby mógł choćbym nawet chciał was ratować — odezwał się z litością. — Sama widzisz że jesteś w ich mocy, księżna pobożną i świętą jest, złego od niej obawiać się nie możecie... A ja — wyrwać was ztąd... nie potrafię.

— Przecież rycerze niejednym raz porywali nawet z klasztorów niewiasty — odezwała się Bianka — ja o tem słyszałam będąc jeszcze małą. Śpiewano o tem pieśni...

— Ale ja tu jestem posłem i nietylko skaziłbym się sam, lecz i panu memu krzywdę uczynił, popełniając gwałt... Młodym to przebaczone, staremu byłoby sromotą.

Sierota zakrywszy oczy płakać zaczęła.

— Nie macie bo litości nad nieszczęśliwą — zawołała... — Ja tylko w was ufam! Zlitujcie się, wyrwijcie mnie ztąd... Siostra Anna co mnie strzeże jest w kaplicy... Was tu Pan Bóg sprowadził. — Ja nocą wyrwę się z zamku — ucieknę... Wolę w las biedz i z głodu umierać niż iść w niewolę... Musicie mnie ratować!! nie mam nikogo!!

Szmer w drugiej izbie mówić jej nie dał, rzuciła się ku drzwiom i znikła.

Wąligóra co rychlej ustąpił z komory, przeszedł pierwszą izbę pustą i szybkim krokiem zamek opuścił... Żał mu było obłąkanej — lecz cóż mógł na to radzić? jak ratować? Lękał się i on tej siły jaką miała księżna przez świątobliwość swoją... przeciwieć się jej było to walczyć z Bogiem...

Jeden miał tylko środek uniknięcia tego co mu tu zawikłaniem niebezpiecznym groziło — uchodzić co rychlej. — Nie zważając więc na Kumkodesza, powróciwszy do gospody kazał się sposobić ludziom do drogi...

Postanowił wieczorem pożegnać księcia — i choćby nocą ruszyć ku Poznaniowi.

Kleryk który z kościoła po nabożeństwie przyszedł przed południem znalazł wszystko już przysposobione do odjazdu.

— Miłość Wasza — chce przyspieszyć podróż? — spytał.

— Muszę — rzekł Mszczuj — już mnie nie pytajcie i nie wchodźcie w to; powiadam Wam że dłużej tu siedzieć nie mogę. Jak skoro książę powróci, żegnaj go i na konie.

Kumkodesz spojrział i widząc niezmiennie postanowienie, nie sprzeciwił się, począł też swoje węzłki sposobić.

Czas do wieczora włókł się leniwo, — już o mroku w rynku ukazał się myśliwski orszak księcia wracającego z lasu. Peregryn przybył o gościa się dowiedzieć. Konie stały poodziewane do drogi.

— Chcecie jechać?! — zawołał zdziwiony.

— Posłaniec przybył z Krakowa który mnie zmusza do spiesznego — powrotu — rzekł Mszczuj.

Uczyńcie to abym mógł księcia pożegnać. Jest mi pilno.

Peregryn nie nalegając oddalił się. W godzinę już Mszczuj był na zamku.

Ks. Henryk właśnie po łowach spoczywał.

— O małym dziś znowu tak nie zapadł z koniem, — odezwał się do wchodzącego, — jak ongi na tej trzebnickiej grzędawicy, gdzie dziś kościół stoi i klasztor... Łowy próżne, a ja zmęczony... Peregryn mówi że chcecie ztąd precz... Co się tak spieszycie, — dodał, — juźci nie dla Niemców, których nie lubicie...?

— Posłaniec przybył z Krakowa — rzekł stary — muszę.

— Gdy musicie, jedźcie — odparł Henryk, — a powiedźcież pobożnemu i świętemu mężowi iż Henryk syn jego co raz rzekł i poprzysiągł, to strzyma, bo duszy gubić nie chce dla wszystkich skarbów znikomego świata tego...

Książę przemówił słów kilka jeszcze, a w końcu zmusił Mszczuja aby od niego łańcuch przyjął na pamiątkę.

— Niemieckiej roboty jest — dodał śmiejąc się, — ale ci go ręka życzliwa daje, w której swojska krew płynie...

Aby nie obrazić księcia, Mszczuj podarek przyjąć musiał... Peregryn go do gospody przeprowadził, i właśnie księżyc wschodził za borami, gdy poczet cały za bramami miasta się znalazł.

Mszczuj odetchnął wolniej... W mieścisku tem duszno mu było... i obco..., chciał je co najprędzej opuścić...

Już się na kilkoro staj od bram oddalili w pole, zwolna jadąc a rozpatrując się, gdy za nimi tentent się dał słyszeć i ludzie konni nadbiegli... Jechali w bok z drogi się rzucając, niespokojni jakby kogoś szukali, za czems gonili...

Kilku z nich zbliżyło się i wyminęło Waligórę, inni z tyłu pozostali... Jeden z ludzi począł pytać co po nocy tak tropią...

— Z zamku niewiasta do klasztoru przeznaczona uciekła — odezwała się pogoń. — Nikt nie wie jak się wyrwać potrafiła... Podobno w głowie jej było niezdrowo... i w przystępie szaleństwa zbiegła... Na wszystkie drogi ścigać ją wysłano...

Mszczuj chciał spieszej puścić się, taka go zdjęła obawa, lecz gościniec był nierówny, doły w nim powybijane, kałuże stały które omijać musiano. Konie się płątały... Musieli stępią jechać dalej, a pogoń wkrótce zarośla nad drogą strząśszy, powróciła nazad ku miastu...

Wtem Waligóra postrzegł na gościńcu stojące widmo jakieś, wyciągające ręce ku niemu. Nim miał czas w bok się rzucić, zbliżyło się do konia i z krzykiem padło przed nim na ziemię.

Po głosie poznał Biankę.

Czeladź i on, ochłonawszy ze strachu, zsiadli z koni ratować omdlałą, która wróciwszy do zmysłów, za nogi chwyciła starego, błagając by jej nie opuszczał.

Nie wyrzekłszy słowa Mszczuj, podniósł ją na konia swego, kazał sobie dać lóznego i puścić się w dalszą drogę.

Kumkodesz który nie rozumiał nic, zgorszony był i przerażony. Czyn ten wydawał mu się świętokradzkim, nie śmiał się odzywać i w tył cofnąwszy — myślał czy by mu nie należało nazad do Krakowa powrócić, aby nie być świadkiem takiej zgrozy i szkarady. Czeladź też Mszczujowa patrzyła po sobie, nie poznając pana swego.

Jeszcze się od miejsca tego, na kilkanaście kroków nie oddalili, gdy jak piorun spadła na nich otaczając ze wszech stron zbrojna zamkowa hałastra, rejtry, knechty, pacholki, wszystko co w pogoń ruszyło za zbiegłą sierotą. Napad był tak gwałtowny i niespodziany,

że Waligóra nie miał czasu dobyć miecza i cugle w zęby porwawszy, potężne swe dłonie tylko przeciw Niemcom wystawił.

Zamięszanie w mgnieniu oka stało się takie, że swoi od obcych rozróżnić się nie mogli. Niemcom smakowało bicie człowieka, o którym wiedzieli, że ich nienawdził, krakowianom też ucierać się z niemi byłoby na rękę, gdyby nie przemagająca siła. Jak mrówie obsiedli ludzie zamkowi garść Mszczujową, ścisnęli ją, zgnetli, opasali.

Jeden tylko Kumkodesz na końcu jadący ze swemi ludźmi w porę się odbił na stronę i niemogąc bronić Mszczuja, postanowił ująć, aby o losie jego dać wiadomość. Waligóra byłby się może także dzięki sile swej, która mu z gniewem powróciła, wybił z pomiędzy knechtów, gdyby z nim nie padł koń, na którego się przesiadł, a na leżącego, nim się mógł podnieść, rzuciło się kilku i przygniotło. Musieli mieć czy rozkaz pojmania go, czy sami się domyśleli tego, lecz wszelkich sił dołożyli, aby nie dać ująć Mszczujowi. Dwu z nich uderzeniem pięścią w skronie położył na miejscu, kilku ręce pogruchotał, lecz nie dali mu się z ziemi podnieść i natychmiast go powrozami skrępowali.

Kilku ludzi wzięto także do niewoli, a reszta w lasy poszła i rozbryzgnęła się korzystając z ciemności. Pochwycono i omdlałą Biankę z konia... Z okrzykami tryumfu cała ta hałastrą pociągnęła do miasta. Wrzawa tak była wielka, iż ją na zamku usłyszano i naprzeciw wybiegli ludzie.

Można sobie wyobrazić radość tych, którzy wczorajszego wystąpienia Mszczuja przeciwko Niemcom i jego pogardy dla języka ich byli pamiętni, gdy ujrzano owego biskupiego posła pochwyconego na gorącym uczynku gwałtu na drodze publicznej, przeciwko niewiedzie do orszaku księżnej należącej.

Z wiadomością o tém, jedni pospieszili na gród, drudzy otaczali związanego Waligórę, szydząc i naigrawiając się z niego.

Wnet wszystko, co przeciwko niemu świadczyć mogło, przypomniano. Spotkanie w drodze z orszakiem siostry Anny, potajemne z Bianką rozmowy, potem widzenie się z nią na zamku w czasie niebytności księcia. Było czém dowieść podejścia, zdrady, umowy i gwałtu popełnionego na osobie przeznaczonej do życia zakonnego. Niemcy z całą zajądłością poduszczali na swego nieprzyjaciela. Książę jeszcze był niepewien, co ma począć, gdy go oblężono, zakrzyczano, zmuszono niejako, aby winowajcę wsadzić natychmiast do więzienia.

Występek był jawny. Biankę na koniu Waligóry schwycono, oprócz tego broniąc się ubił dwóch ludzi i kilku okaleczył. Natychmiast nadbiegający prolokutor (prokurator) sądów dworskich, jak przystało Niemiec, począł księciu wystawiać, iż tak okropna zbrodnia bezkarnie ująć nie powinna.

Człek ten nadużył gościnności, spiskował w najohydniejszy sposób, popełnił *raptus*, *violentią*, pod boki księcia, z pogardą władzy jego, korzystając z poselskiego urzędu swojego, ukazawszy się prócz tego niewdzięcznym dla pana, który go przyjął tak dobrotliwie.

Nadewszystko przekonywającym dla księcia było to, że pobożna pani Jadwiga nie mogła przebaczyć zniewagi swojego domu, i niewiasty którą służbie Bożej poświęcić chciała.

Po krótkim namyśle ks. Henryk uległ i wydał rozkaz zamknięcia Mszczuja do więzienia. Niemcy domagali się nad nim natychmiastowego sądu i przykładnej kary...

Nie dość im było trzystu, ani pięćdziesięciu grzywien, wołali, że na gardle powinien być karany...

Zbisław i mała kupka słazaków, nie śmiała się odzywać nawet.

Tak wprost do grodowego więzienia wciągnięto starego Mszczuja, ludzi od niego oddzieliwszy, a że się siły jego obawiano, pozostawiono jak był związanym grubemi sznurami... Stary na wrzaski i wołania, ani słowem nie odpowiadał...

VI

Na Białej Górze leczyli się ciągle dwaj ochotnicy krzyżacy, a Gero tak prawie jak zdrów już był, z Hansem tylko, którego rana głębsza była i znaczniejsza, szło powoli. Dzierła przykładła ziola i dziwowała się, że nie skutkowały.

Ksiądz Żegota radby się był już pozbył bardzo uciążliwych gości, ale wypędzić ich nie mógł, a oni sami nie myśleli wcale o wynoszeniu się z tego schronienia, w którym nie tak im źle było.

Gero szczególnie zobaczywszy dwie piękne Halki, tak się młodzieńczo zajął niemi, iż gotów był o wyprawie na prusaków i zakonnikach, o stryju i przyszłości zapomnieć.

Z Dzierłą jak mógł i umiał mówił tylko o nich, a w końcu postanowił spróbować szczęścia, czy z jej pomocą zbliżyć się do dziewcząt nie potrafi.

On i Lambach opatrzeni byli w grosz dosyć obficie, Gero więc począł szatańską swą sprawę od tego, że obdarzył babę, pokazując jej dziesięćkroć więcej — które dostać mogła, jeźliby mu widzenie Halek ułatwiła.

Stara zaczęła od tego, iż pieniędzy wcale brać nie chciała, okazała strach i zgrozę wielką, zaprzysięgła że i śnić o tem nie mógł Gero. Zwolna jednak, namyśliwszy się, schowała do torebki podarek, zamilkła, na przyszłość nie chcąc się obowiązywać do niczego. Wyszedłszy po tem za zagrodę, dumiała...

Dziewczęta były niezmiernie ciekawe niemców, ładny chłopak zajęty niemi. Pokusa ją brała ułatwić obu stronom niewinne zbliżenie się ku sobie. Mogło się to stać tak tajemnie, że żywa by dusza o tem nie wiedziała... Zyskać naraz tyle pieniędzy, choćby po tem z niemi przyszło się gdzie wynosić, uciekać, skryć, także nie było do pogardzenia. Między strachem a pokusą, walcząc z obojgiem, Dzierła włosy sobie rwała z głowy, a rozczochrawszy je, natychmiast biegła porządkować, gdyż dbała była o to, aby się jeszcze starą wiedźmą nie wydawać.

Dziewczęta były szczebiotliwe, bo nienawykłe do żadnych tajemnic, i w życiu ich nigdy nie miały. Zwierzyć się im z tego, że na samym zamku niemcy byli ukryci, groziło niebezpieczeństwem, ksiądz by jej był tego nie przebaczył.

Stary podżupan Telesz, człek niepodejrzliwy aż do ślepoty, dotąd najmniejszego jeszcze kłopotu proboszczowi nie przyczynił, umiał go ks. Żegota trzymać zdala od swej zagrody, a wpuszczanie baby do niej i swoje odwiedziny szczęśliwie ukrywać. Nic się nie zdawało grozić z tej strony, gdy dnia jednego podżupan przyszedł do księdza z prośbą, aby mu pustego domu dozwolił na złożenie gospodarskiego sprzętu, dopóki nowa szopa w miejsce tej którą wicher obalił, wystawioną nie była.

Podżupanowi żądanie to tak się wydawało naturalnem i tak pewien był, iż odrzuconem być nie może, że zawczasu już ściągać kazał pod zagrodę pługi i sochy. Wozy z mniejszymi przybory gospodarskimi stały u wrot; gdy Telesz spokojny przyszedł do księdza, żądając otwarcia tylko i poręczając mu, że dom wprędce uwolni.

— Sami tam nie siedzicie — rzekł — pustką stoi. Tożśmy go przecie dla was budowali, niechże się naszemu panu przyda.

Ksiądz zrazu uląkł się tak, iż mu mowę odjęło.

— Kochane moje dziecko — odparł — co ci się śni! to nie może być, to własność kościelna! Ja nie mogę nią rozporządzać, po tém by kiedyś mógł z tego spór urosnąć do kogo zabudowanie należy!!

Podżupan się rozśmiał.

— Co bo wy ojcie żartujecie? — znacie pana naszego przecie, że on nikomu nic nie odbiera a daje chętnie.

— Ależ pan nasz nie wiekuisty! — zawołał proboszcz...

— No, to weźmy świadków, a ja od pana mego przed niemi zeznam, że za pozwoleniem waszem, na czas tylko się wnoszę.

Ksiądz ścisnąć począł Telesza.

— Nie czyn tego! dla miłości Chrystusowej, nie czynże tego! ja cię proszę! ja cię zaklinam! ja domku dać nie mogę.

Z kolei Telesz niezmiernie się zdziwił oporowi i coś go tknęło.

— Wiecie ojcie, że ja was szanuję — rzekł — że ja krzywdy waszej nie chcę, ale mniejsza tam o pługi i sochy, coby na deszczu stać mogły, skóry mam które przechować muszę, a u mnie wszystkie strychy i wyżki pełne... nie mam gdzie.

Uparł się Telesz, księdzu aż na lzy się zbierało. Podżupan miał władzę na zamku, ale duchowny w onych czasach znaczył wiele, mógł skarżyć i Telesz wiedział, iż go Mszczuj lubił.

Poskrobał się po łysinie, nachmurzył, pomruczał i — odszedł nadąsany. A był stary z tych ludzi co gdy im na sercu coś leży, muszą gderać i wypowiadać swą biedę. Po drodze do dworu począł na księdza narzekać. Szli za nim parobcy i słuchali.

Gdy Telesz już się zbliżał do swojej izby, pokłonił mu się stary Wątroba i podszedł ku niemu szepcząc.

— Ksiądz nie darmo dworu swojego broni. Oh! oh!

Zrobił jakiś znak i gębę zatulił. Telesz do niego przystąpił.

— Gadaj że mi gdy co wiesz! cóż to być może? co? — zawołał.

— Niech mnie ojciec nie zdradzi — szeptał Wątroba — bo uchowaj Boże ksiądz się pogniewa, to przypłacę głowę. O! mają oni sposoby!!

— Gadaj że no!

Wątroba wahał się jeszcze, gdy stary Telesz zaczynał się już gniewać. Parobek się nastraszył.

— Ksiądz tam we dworku... tych Niemców co pod szopą leżeli, chowa — rzekł cicho.

O Niemcach posłyszawszy, podżupan o mało nie padł, bo od pana swego nauczył się ich nienawidzić, a bytność na zamku ludzi tego plemienia wydała mu się wyrokiem śmierci na niego i zguby całej rodziny, gdyby Mszczuj miał się o tem dowiedzieć.

Wątroba widząc, że Telesz oniemiał ze zgrozy, a tłumacząc to sobie niedowierzaniem, począł naprzód zaklinać się i przysięgać że nie kłamał, że pustych słów nie powtarzał i opowiedział, jak nocą leżąc na wałach, widział gdy rannych furką przeprowadzano. Poznał i wymienił Dobrucha i Dzierłę.

Nie ulegało więc wątpliwości, iż przez niedozór Telesza stało się co mogło największe na niego naprowadzić nieszczęście, czuł się zgubionym.

Starego, spokojnego człowieka że grom ten niespodziany nie ubił w miejscu, było cudem.

Brzmieł mu w uchu niemcy, niemcy. Mszczuj mógł powrócić niespodzianie każdej godziny.

Jak stał już pod drzwiami swej izby, Telesz obrócił się i nazad pobiegł do proboszcza, który tylko co odmówiwszy modlitwę miał zasiąść do stołu. Zobaczywszy Telesza powracającego o jadł i modlitwie zapomniał. Podżupan go wyciągnął w podwórze.

— Ojcze! — zawołał — wasze szczęście żeście duchownym, jeszcze dzisiejszego dnia dałbym was obwiesić... Wiem, wiem wszystko, wiem dla czego mi dworku użyzyć nie chcecie... Zdradziliście pana i mnie, Niemców w nim trzymacie. Wiecie wy co to znaczy dać im tu na zamek wleźć i splugawić nam go?

Telesz z gniewu i strachu pienieł, ks. Żegota przypadł przed nim na kolana.

— Człowiecze upamiętaj się — krzyknął — ja jestem sługa Chrystusa, a nie czyj inny, u mnie jego rozkaz nad wszystkie, On kazał ludzi ratować, widzieć w nich braci... jam ich na zgubę dać nie mógł. Czyń co chcesz!! wieszaj mnie! wieszaj!

Uniósł się stary księżyna i nic nie mając do stracenia, zaczynał głośno wołać: wieszaj!

Telesz chwycił go za rękę.

— Gdybym was powiesił i biskup by mnie wykłął i głowy bym nie ocalił — rzekł — nam się obu trzeba ratować. Precz z nimi wnet, precz jeszcze tej nocy i zjedz do licha tę budę... aby po nich ślad nie został...

— Cóż ich rannych jak psów wyrzucisz? — odparł ksiądz.

— Dla mnie gorzej nich! — krzyknął Telesz — niech marnie giną.

— To i ja z nimi — oparł się ksiądz — pędź, wyrzucaj i mnie!

Podżupan zmiarkował, że wrzawę uczyniwszy, popsuje własną sprawę. Chwycił się za głowę i począł kląć na czem świat stoi.

Ksiądz słuchał, dając mu się wyzłościć.

Odwiódł go na stronę.

— Słuchaj Telesz, nie gub mnie, nie gub siebie i duszy nie gub. Chrystus kazał bliźniego miłować, a on starszy i mocniejszy od Mszczuja! Daj ty się im wylizać, to nie długo potrwa, nikt o nich nie wie... wymkną się i śladu nie będzie.

— Jak nikt nie wie! jak śladu nie ma być! — zakrzyczał Telesz — a mnież parobek Wątroba o tem powiedział! Myślisz, że on języka utrzyma... Dzierła też wie, wie Dobruch, i ma się to ukryć??

— Ze strachu będą milczeli, a Wątrobę ja zaklnę — rzekł ks. Żegota chwytając go za rękę.

— Miej miłosierdzie i rozum.

Telesz rozpacział.

Uspokoić go nie było sposobu, ksiądz całował i prosił napróżno. Podwórcem szła stara Dzierła niczego się nie domyślając. Telesz zawołał na nią. Spojrzawszy mu w oczy, zobaczywszy księdza, baba zaczęła drżeć jak liść.

— Ty, stare próchno przebrzydłe, — zawołał podżupan, — mów mi prawdę, a nie to wnet ci stryczek na szyję każe zrzucić.

Baba padła całując ziemię przed nim i zanosząc się z płaczu...

Dorozumiała się wszystkiego, i składała winę na księdza, ksiądz jej z siebie nie zrzucił.

— Gadaj mi ty, rychło ten pies ranny będzie się mógł ztąd wywlec...?

Dzierła podniosła się...

— Albo ja to mogę powiedzieć — poczęła ośmielając się trochę — jeden z takiej rany wyzdrowieje we cztery niedziele, drugi ledwie w pół roku! Krew krwi nierówna. Zabij mnie ja tego powiedzieć nie mogę.

Ksiądz jej przerwał.

— Spodziewałaś się za cztery niedziele?

Dzierła pokręciła głową.

Telesz który dawniej bił się i znał na ranach, wprost się do dworku zmierzył, chciał iść sam patrzeć, a kilka kroków zrobiwszy zmiarkował że widząc Niemców, stanie się współnikiem winy księdza. Zdało mu się bezpieczniejszem udawać dalej że o niczem nie wie.

— Dzierla! — zawołał na babę, podnosząc pięści do twarzy, — jak ty mi piśniesz o nich — różgi i stryczek. — W śmierć zasiekę.

Baba bijąc się w piersi padła na ziemię. Do księdza Telesz już ani mówił, pobiegł do parobków i ze strachu aby Wątroba nie gadał, kazał go do jamy zamknąć.

Mało mu było tego, pospieszył do Dobrucha, który modlitwy pod kaplicą odmawiając koszyki plótl.

Pogroził mu zdala.

— O wy! wy oba z księdzem! — zamruczał — jak gęby nie będziecie trzymali zabitej — ja wam dam... Nawarzyliście kaszy, ale wam od niej gęba ze skóry oblezie. Milcz ty mi — albo ja ci zamknę na wieki mordę, aby długi język z niej nie wyszedł.

Strwożony Dobruch przeżegnał się tylko. Telesz już poszedł dalej. Chodził po grodzie sam nie wiedząc dobrze dla czego, po co, zaglądał po kątach, kłął, łajał, pędział, gniewu nie mając na kogo zrzucić... Do wieczora tak wałęsał się, aż znużony na przyzbie u siebie padł i zdrzemnął się.

W dworku trwoga była wielka, bo Dzierla poszła do Niemców i na migi im pokazała że się straszne rzeczy działy. Gero zdrowszy obawiając się aby na nich nie napadnięto, wziął się do miecza, a Hans, choć wstać nie mógł, chciał się też bronić do upadłego. Nie wiedzieli dobrze co im groziło, lecz z baby wyrozumieli iż coś dla nich niepomyślnego się stało.

Nierychło nadszedł proboszcz ochłonawszy trochę. Oczy miał zaczerwienione; ale spokój i otucha jakaś wstąpiła w jego serce. Pokrótce opowiedział co się stało — pierwsza najstroższa burza zdaniem jego już była przeszła. Telesz musiał teraz jako współwinowajca milczeć, a Niemcom trzeba było się starać co rychlej wyzdrowieć.

Hans gotów był sam tu pozostać i odpuścić towarzysza, który już na koniu mógł usiedzieć; lecz Gero nie chciał go zostawić samego. A może i nie bardzo mu się chciało gród opuszczać.

Po tym dniu wielkiej trwogi, nastąpiło uspokojenie stopniowe i niemal powrót do dawnego stanu, z tą różnicą, że daleko mniej już potrzebowano się taić i ukrywać.

Telesz w tę stronę zamku prawie nie chadzał, księdza unikał, nie chciał z nim mówić, poźółkł i wychudł okrutnie.

Jednego dnia około kaplicy spotkawszy się z proboszczem, rzekł mu mijając go.

— Jak za cztery niedziele, nie będą zdrowi i nie wyniosą się, dwór z niemi na cztery rogi własną ręką podpale...

Rzuciwszy tę groźbę, zamilkł znowu.

Ks. Żegota naglił na babę, aby co rychlej leczyła. Dzierła się zaklinała że robi co może. Rana Hansa goić się nie chciała, noga była obrzękła jak kłoda. W rozumieniu też powszechnem było iż rany od kłów dzika jakby jadowite, długo się zawsze jątrzyły... Naówczas już mawiano że z niedźwiedziem się spotkawszy trzeba było gotować łoże, a z dziakiem — mary. Młodości tylko swej i silnej naturze winien był, jak Dzierła utrzymywała, Hans, iż życiem nie przyplacił.

Ciągnęło się teraz tak z dnia na dzień, lecz po przebyciu pierwszej trwogi, Dzierła po niewieściemu, wprędce zapomniała o niej i pokusy dawne wróciły.

Halki które się nudziły czasu długich już wieczorów jesiennych, wołały prawie codzień do siebie Dzierłę, aby im prawiała bajki. Stara ochmistrzyni ich, prosta niewiasta, zwykle z kądziałą w kącie zasiadłszy, usypiała, a dziewczęta zostawiała na pastwę Dzierli...

Nie wiedzieć jakim sposobem rozmowa często na Niemców wracała. Halki tych ludzi strasznych o których tyle słyszały, a nie widziały ich w życiu nigdy, były ciekawe! ciekawe! Drażniło je to że stara w swych opowiadaniach, ile razy mowa o nich była, opisywała ich zupełnie inaczej niż one sobie wyobrażały.

Naiwniejszych istot nad te dwie śliczne Halki, na świecie pono nie było. Nie znały one ani ludzi, ni życia, instynkt je prowadził, myśli które może na świat z sobą przyniosły, wyciśnięte we śnie co poprzedzał przebudzenie — dziwacznie plątały się w główkach, które fantazyja napelniała dziwaczniemi kwiatami swemi.

Z baśni i piosnek wiedziały tylko że mają kochać, że mają mieć mężów, że mogą być szczęśliwe i nieszczęśliwe. Pogańskie te powieści mówiły o różnych dziwnych przygodach, o księżniczках jak one, zaklętych, porywanych, płaczących i zaślubianych radośnie.

Wszystko to im się uśmiechało, jednym się tylko trwożyły, że obie jednemu mężowi poślubione być nie mogą — bo jak mówiła Dzierła, za nowego prawa, już wszyscy musieli mieć po jednej żonie. Marzyły więc o dwóch takich braciach jak one były dwiema siostrami — którzy je poślubićby chcieli.

Stara mówiła że braci takich bardzo było znaleźć trudno... A im dwóm myśl rozdziału była równą ze śmiercią.

Zdało się im że Bóg co je stworzył, musiał umyślnie też przygotować dla nich, dwu bliźniaków...

Dzierła chętnie przychodziła na wieczory do kniaziozien, bo tak je zwała. Siedziała tu wygodnie u ognia, dawano piwa ile chciała, gryzła orzechy, karmiono ją kołaczami... Bawiły ją wreszcie te dzieci tak śliczne, z których dobrodusznym zapytań i wykrzyków czasem się śmiała że aż do ziemi przypadała.

Trafiło się że gdy dziewczęta, często chodząc do kaplicy modliły się w niej i bawiły, bo je obrazy, strojenie ołtarza, zawieszanie obrusów, wicie wianków rozrywało. — Ksiądz w zakrystyi nie wiedząc o nich z Dobruchem począł mówić o Niemcach.

Nie rozumiały z początku nic, lecz ks. Żegota tak żale rozwoził szeroko i jasno, tak się wywnętrzał przed starym swym pomocnikiem, że dwie Halki w końcu — dowiedziały się o wszystkim... Stały w początku strwożone niezmiernie, chcąc uciekać...; potem gdy ksiądz odszedł, i one pobiegły do swej izby. Miarkowały że schowanie tu tych Niemców było tajemnicą wielką! wielką! Z rozmowy doszło je że Dzierła o rannych wiedziała!! Palila je ciekawość nieugaszona — zobaczenia tych stworzeń...

Halki tak się dobrze rozumiały iż prawie mówić nie potrzebowały do siebie. — Do wieczora siedziały patrząc sobie w oczy, pół słówkami coś mrużąc, chwytając się za ręce i ściskając.

Myśl miały jedną tylko — zmusić Dzierłę aby im Niemców pokazała zdaleka — zdaleka, bo się ich obawiały strasznie...

Ale zobaczyć! a! zobaczyć ich musiały! Drugi raz w życiu już się im podobna sposobność trafić nie mogła.

Dzierła swym obyczajem przysunęła się wieczorem. Nie potrzebowała być wieszczbiarką, by poznać że dziewczęta dnia tego były jakieś inne, niespokojne, rozgorączkowane...

Dopóki stara dozorczyni nie usnęła, mówiły o rzeczach obojętnych — oglądały się tylko rychłoli ona wypuści z rąk wrzeczono i — nie podniesie.

Bywało bowiem że ono spadało ale stara je chwyciła. Śliniła palce i przędła dalej, dopóki sen na koniec zupełnie nią nie owładnął.

Naówczas wrzeczono zsuwało się na podłogę i ona go już nie podejmowała, aż gdy do snu iść było potrzeba.

Dzierła postrzegła i to że Halki dnia tego pilnie śledziły swoją ochmistrzynię, coraz się ku niej oglądając. Zabawiała je jak mogła i — widziała że nie słuchają, chciała odejść, nie puściły.

Zamknęły się w końcu znużone oczy starej, wrzeczono potoczyło... Spała. Halki zbliżyły się do Dzierli i z trwogą pochyliły ku niej. Mówiły do niej tak jak to one często umiały, jedna poczyniała myśl, kończyła ją druga, mieniły się te dwa głosy i w jeden zlewały...

Zamknawszy oczy przysiędz było można, iż jedna Halka tylko śpiewała tak dziecinną myśl swoją.

— A! Dzierlo! ty! Dzierlo niedobra! Dzierlo niewierna! My coś wiemy, a tyś nam nie powiedziała! Mówisz że dobyłabyś dla nas z pod serca, a tyś podkryła, taką ciekawą rzecz!!

— Cóżem ja kryła przed wami? dzieci moje złote? co? — zapytała Dzierła.

Schyliły się do niej obie i w uszy jej szepnęły ze stron obu.

— Niemcy! Niemcy!

Baba upuściła kubek który trzymała, ze strachu. Spojrzała na śpiącą i ukazała ją im oczyma...

— Oh! — ozwały się Halki. — Śnią się jej pierogi!!

I powtórzyły wtórem.

— Niemcy! Niemcy!

Dzierła chciała udawać że o żadnych nie wie... Prędko wypowiedały się jej z kądem o nich wiedziały. Co tu począć było? Baba może i rada była temu, ale obawiała się strasznie.

— Póki oni tu są — Dzierła, my ich widzieć musimy! o musimy! — mówiły Halki patrząc na siebie i zgodnie — powtarzając. — Musimy!

— Nie można! — rzekła Dzierła — gdzie? jak? Gdyby się kneź dowiedział mnieby zabił... a was — ja nie wiem.

— Ojciec wiedzieć nie będzie! nigdy, nigdy, a my widzieć ich musimy! — mówiły Halki.

— Jeden leży — odparła Dzierła, — drugi mało co chodzi i kuleje... jakże wy ich widzieć możecie! Siedzą zamknięci!

— Jak? my nie wiemy, ty powinnaś wiedzieć! Dzierlo złota, Dzierlo kochana...

Baba uszy sobie pozatykała, oczy zakryła, słuchać nie chciała, ale się śmiała... Co tu było począć z niemi!

Aby je rozerwać a mieć czas do namysłu, Dzierła zaczęła opisywać im Niemców, a że młode chłopaki jej się podobali, użyła barw bardzo jasnych... Mówiła że byli hojni, dobrzy, mężni, że ich słyszała śpiewających jakieś pieśni których nie rozumiała wprawdzie, lecz przypuszczały iż w nich była o miłości mowa, tak brzmiały wdzięcznie i słodko.

Chciewie słuchały dziewczęta, nie tracąc wyrazu, rozkazując jej powtarzać, lecz opowiadanie to zamiast nasycić ich ciekawość, jeszcze ją silniej rozżarzało... Oczki się im paliły...

Dzierła tego dnia obłąkana nie wiedząc jak się ratować, kaszlać zaczęła, zbudziła starą, która wrzeczono podniosła i przerwała się ta złota rozmowa.

Halki posmutniały — kazały jej przyjść jutro wcześniej, wcześniej... Z jedną myślą obie, pobiegły do kąta, wzięły świeży kołacz biały, zawinęły go w ręcznik szyty i dały babie szepcząc. — Nie dla ciebie! rozumiesz! O! nie dla ciebie!

Dzierła schowała go za pazuchę i mrugnęła oczyma.

Szła nazajutrz z miną bardzo figlarną do Niemców, kołacz niosąc z sobą. Gero z nią rozmawiał częściej, lepiej ją rozumiał i umiał jej coś powiedzieć, zwróciła się ku niemu.

Wyjęła z pod sukmany zawinięty w piękny ręcznik kołacz ów, podniosła go do góry z wesołą twarzą — i znacząco położyła przed Geronem.

— Kołacz taki że na wagę złotaby go kupić tanio było!! Kto ten kołacz trzymał, kto ten ręcznik szył? kto ten podarek przysłał?...

Głowę rzucała śmiejąc się a śmiejąc. — Geron rozwinął cienki rąbek...

Ona wskazała wdał ku dworowi... i szepnęła mu. — Halki!

Pomału, cedząc, drożąc się, zaczęła wygadywać. — Drażniła Gerona i Hansa, zaczynała coś, nie kończyła, w starej babie znać było przeżyta zalotnicę... Poruszała się jak za młodych czasów, wdzięcząc, mrugając, a bawiło ją to, jakby sama rozpoczynała kochanie.

I tak od słowa do słowa, dwóma łamanymi językami wygadała w końcu że dziewczęta o nich wiedziały, że gdzieś podsłuchały i ciekawe były bardzo — ale — nadarmo!

Gero ofiarował się na wszystko w świecie byle te dwa kwiatuszki zobaczyć. — Garścią sygnął pieniążki srebrne starej, a obiecywał — wszystko co miał...

Dzierła chowała blaszki srebrne, zaklinając się że niepodobna tego uczynić. Jak? gdzie?

Dziewczęta przecież do nichby przyjść nie mogły, a oni też do dworu, gdzie tyle oczów było!!

Dzierła powiększała strachy i trudności umyślnie... Gero płonął z niecierpliwości.

Tymczasem za tego kołacza który im miłosiernie przysłały, chciał coś posłać nawzajem... Hans miał z sobą od matki daną na pergaminie pisaną i malowaną książkę do nabożeństwa. Pochodziła ona z jednego z klasztorów francuzkich, i zdobyły ją prześliczne obrazki... Na jednej stronie była wdzięczna, dziewicza postać Maryi Panny, którą anioł pozdrawiał klęczący.

Geronowi na myśl przyszło wykroić z książki malowanie, ale Hans opierał się mocno, była to pamiątka od matki, była rzecz osobliwa i droga. Gero tak się do niego modlił, tak zaklinał, obiecał tak zręcznie wyciąć obrazek, ofiarował zań wreście ze swej zbroi coby Hans chciał... Zgodzili się nareście i Gero ostrym nożem wykroił kartkę pergaminową. Dokoła oplatał ją wianuszek z różnego kwiecica, z pączków różanych i lilij, promienie w które głowy były poubierane świeciły złotem, lecz najpiękniejsza była twarz Maryi pokornej, schylonej, z rękami na piersiach złożonemi...

Gero zawiązał kartkę tę w jedwabną chustkę którą miał z Włoch przywiezioną. Tkana była w Wenecyi przez azyatyckich kunsztmistrzów i fantastyczny splot kolorów na niej porywał oczy. Zdawała się coś mówić, farby te śpiewały, śmiały się, pieściły z sobą, tylko nie można było ich języka zrozumieć, ale oczy bawiły się od tego cacka oderwać nie mogąc.

Obrazek z chustką oddał Dzierli, polecając aby go tegoż dnia odniosła.

Stara zawięta to jeszcze w jakąś płachtę, bojąc się aby świetne barwy nie zdradziły podarku i wyszła szczęśliwą! Śmiała się idąc i śpiewała. — Co to powiedzą dziewczęta?? jak się to one podzielią??

Wieczorem zastała je obie stojące u drzwi — tak im widzieć ją pilno było — lecz stara nie spała.

Wrzeczono jej kręciło się jeszcze w palcach żywo, nić ciągnęła jak jedwab cieniuchna i równa...

Baba pokazała rękę przykładając do piersi że coś niosła — ale czekać było potrzeba! Czekać, a tu ciekawość paliła!

Na biedę tego wieczora stara prządka dłużej niż zwykle czuwała. Myślały że ją uspią nucąc, śpiewały, zaczęła wtórować...

Wieczór szedł ślimaczym chodem, powoli — nie miał końca, a Dzierła coraz to ręką pokazywała iż coś się tam pod nią kryło. Dopiero gdy wrzeczono się potoczyło, cicho na palcach przystąpiły do ognia, główki ich pochyliły się, Dzierła dobywać zaczęła i rozwijać — ostrożnie, powoli, nieznośnie...

Naprzód błysnęła chustka zachwycająca, uprzedziona tęczą, wytkana łąka kwiecista... Patrzyły na nią oniemiałe... Stara, ledwie śmiejąc dotykać, z poszanowaniem dobyła ów cud — obrazek...

Dziewczęta które widziały tylko greckie malowania duże i niezgrabne, nie prędko wśród tego złota i splotów dostrzegły Maryi i Anioła... Powoli zapoznawały się z niemi, w oczach ich rozjaśniła się ta scena pół w niebiosach, pół na ziemi, na poły obleczona obłokiem, w pół skromna i domowa... Patrzyły nie śmiejąc dotknąć, bojąc się tchnąć aby oddech nie zakaził tej świętości...

Wszystko troje, Dzierła trzymająca w rękach dar ten, dwie Halki wpatrzony weń, — pozostali długo w zadumanem milczeniu...

Przyszło im na myśl że za biały kołacz, taki skarb, to było za wiele, zarumieniły się. Ani przyjąć nie śmiały, ani chciały odrzucić. — Obrazek pociągał ku sobie... Można się było modlić do niego, a modlitwa doń mogła być tak skuteczną jak on był piękny.

Spojrzały na siebie i zwolna rączki ich wysunęły się bojaźliwie ku pargaminowej kartce, ujęły ją i z obawy aby się stara nie zbudziła zaczęły zawijać troskliwie... Żadna z nich nie puszczała tego skarbu... przy którejże z nich miał pozostać! Uśmiechnęły się do siebie...

Starsza narzucała go młodszej, młodsza oddawała napowrót, ucałowały się, uściśniły i obrazek w dwóch rączkach pozostał we środku...

VII

Ranek był chmurny i na dzień się dopiero zbierało gdy Jaszko musiał na koń siadłszy, przyłączyć się do kilkunastu koni, które nieznajomemu Światopelka powinowatemu towarzyszyły.

Jak w ciągu pobytu w Płocku prawie ich tam widać nie było, bo się wszyscy po kątach gdzieś kryli i na podwórcach nawet nie pokazywali, tak wyjazd też odbył się cicho, i z wyraźnym staraniem, aby ich nie widzieli nawet dworscy ludzie ks. Konrada. Konie wyprowadzono ze stajen po jednemu, stróż z małą latareńką świecił; czeladź siadła gotując się do podróży, a ów dorodny mąż, z którym Jaszko rozmawiał, wysunął się ze dworca, pożegnawszy z kimś u progu we mroku, otulił płaszczem i dał znak do wyjazdu. Cicho otwarto im do pół wrota zamkowe, wyciągnęli z nich gęsiego, i Jaksza znalazł się wśród nieznanym mu ludzi w polu, na drodze..., trochę rozmyślając nad tem na co się tak rychło odważył. — Jechali w milczeniu przez prawie całe jeszcze śpiące miasto, z którego okien gdzieś tylko błyskały światelka..., jakby unikali by ich nie postrzeżono, prędko wydobyli się z pośrodku zabudowań małemi drożynami na pole, i zaczęli zdążać ku lasom nie pilnując gościńca. Dopóki byli w mieście żaden słowa nie przemówił. Przodem na lichym, niepozornym koniu jechał człek bez nakrycia na głowie, porosłej ogromnym włosom, i zdawał się prowadzić. — Za nim milczący ów powinowaty Jaksów, dalej poczet cały, do którego się Jaszko przyłączył. Dopiero gdy już w lasy wjeżdżali o świcie, mógł się on lepiej rozpatrzeć w tych wśród których się znajdował; w Płocku bowiem oni się nie pokazywali. Byli to ludzie dorodni, silni, plemię jakieś wytrwałe, chłop w chłopca szerokopleczone, ale po twarzach ich zwierzęcą dzikość widać było, coś nie dobrze okielzanego, rwałego się na swobodę. Jaszko znajdował między niemi a swojemi różnicę wielką, jakby niedawno przyswojonych i do posłuszeństwa nienawykłych jeszcze.

Nie byli to Niemcy, co po twarzach łatwo poznawał, lecz uzbrojeniem równali im prawie, chociaż i w niem dla wprawnego oka były różnice. Ozdobne ich tarcze, noże, miecze, czapki żelazne, miały inne kształty i rysunki inne. Sam dowódca na hełmie obyczajem rycerzy niemieckich, podobno przyniesionym z Południa, nie dźwigał żadnych ozdób wyszukanych, oprócz dwu małych skrzydeł po obu bokach jego, których pióra były złoczone.

W lesie przewodnik na małym koniu ciągle ukazywał drogę, a zdawał się wyszukiwać jak najmniej uczęszczaną, wcale więc nie rażno im jechać było, bo się przedzierać musieli to gąszczami, to przez moczary i kępiny, przez kłody i zawały, a do pół dnia ni żywej duszy ni leśnej chaty nie widzieli.

W lasach z liści ogołoconych panowała cisza tej pory roku gdy drzewa czem szumieć nie mają, a głos ich letni zmienia się w szmer suchy, w szelest śmiertelny... Tylko gdzieś tam łany sosen i świrków weselej zielonemi gałęzmi rozmawiały.

Sądził Jaszko że dowódca w drodze się do niego zwróci, zagada, — pytać będzie, lecz ani nań spojrział, zapomniał prawie, jechał zadumany, i zdawał się nie widzieć go, nie wiedzieć o nim.

Dumny człek był tem obrażony do żywego, bo choć w nieznanym domyślał się znacznego jakiegoś urzędnika, — nie miał się sam za tak małego aby już z nim rozmówić się nie było warto. Pocieszał się wszakże tem iż do Światopelka dostawszy się, uzali się na butnego człeka, co go poszanować nie umiał. Czuł w sobie tę samą krew która płynęła w żyłach owego księcia nad Pomorzem panującego.

Dobry kawał drogi zrobili nim dano znak do spoczynku i popasu. Tu już Jaszko wzgardzony trzymał się na uboczu płacąc równą obojętnością.

Dowódca spojrział nań zdala, pozdrowił go tylko od niechcienia i rzucił się na podosłane mu skóry na spoczynek, jak gdyby nocy nie dospał.

Niewesoła to zaprawdę podróż była, towarzysze jacyś nieprzystępni, a choć mu jeść i pić dano, nikt się z nim kumać nie spieszył. W grozie widać trzymani ludzie, cicho między sobą szeptali.

Jaszko sobie mówił ciągle. — Aby mi do Światopełka! droga się przecie kiedyś skończyć musi. Jechali dalej tak samo milczący, pospieszając tak samo, zarwawszy trochę wieczora i nocy. — Spać było trzeba pod gołym niebem, na ziemi, bo tylko dla dowódcy szalasił sklecono... Do dnia dano znać do drogi znowu i tak szło dalej, bez zmiany.

Dowódca tylko oglądał się czasami i oczyma szukał Jaszka, jakby wątpił o nim..., a Jaksa zły już był, więc się ku niemu nie kwapił.

Choć drogi nie znał dobrze Jaksa, ale wiedział w którą się stronę kierować byli powinni, i zdało mu się że niekoniecznie naprost tam jechali, dokąd im było potrzeba.

Drugiego dnia położyli się na spoczynek w lesie, a ludzi dwu wysłano na zwiady. Jaszko tylko dosłyszał gdy im nakazywano patrzeć czy do gródka przystęp był wolny.

Czekając na powrót ich więcej pół dnia spoczywali, a gdy ci nadbiegli i oznajmili że jechać było można, zapóźno się zdało, — nocowali więc w lesie. Rozkazy były dane na przedświt.

Wiedział już Jaszko, iż gdy tu co nakazano, wykonać się musiało — na pierwsze poruszenie ludzi, którzy konie poić poprowadzili, stał i on w gotowości. Mrokiem zaczęli się wydobywać z lasów na mokrą równinę, wśród której łęgów widać było jakby rozlaną rzekę i płynące do niej z puszczy strumienie.

Lśniły się zdala stawy i jeziora, okolica była niska, błotnista, trzcinami, sitowiem, łąką i szuwarami pozarastała, pustynna... tylko wśród niej na pagórku zdało mu się jakby gródek jakiś widać było.

Wyjechawszy z lasów, dowódca stanął i dobrze się dookoła rozpatrzył, niżeli w dalszą ku temu grodzisku puścił się drogę. Dzień się robił, coraz widniej było na świecie. Jaszko teraz wyraźniej już mógł poznać zameczek, wały a nawet ludzi jak mrówki około niego się tłumnie kręcących. Dym z za wałów podnoszący się ku górze i rozplywający się po okolicy, wskazywał, iż tam nareszcie ludzkie mieszkania i spoczynek znaleźć mogli.

Jechali teraz spieszniej przez hacie, groble, liche mostki i brody...

Około zamku poznał Jaksa ludzi sypiących wał i bijących ostrokoły... Ruch tam był znaczny. Jeszcze opodal od niego byli, gdy kupka ludzi postrzegłszy ich, wyrwała się z podzamcza i szybko się zbliżyć zaczęła.

Wszyscy byli dobrze zbrojni, z włóczniami w rękach, z tarczami, w szyszczkach i żwa-wo sunęli naprzód. Dowódca klusem się wysunął przeciw nich, coś zakrzyczał, stanęli i puścili się nazad jakby oznajmując o nim.

Gdy znikli, w chwilę potem na koniu sam jeden mąż wyjechał bardzo pospiesznie, ku któremu dowódca podążył i zaraz z koni posiadawszy uścisnęli się jak bracia bardzo serdecznie, a konie wiodąc w rękę szli razem ku gródkowi.

Jaksa rad był odgadnąć kogo dowódca tak poufale witał, gdy posłyszał pomiędzy ludźmi, którzy obok jechali, szepczących Płwacz!

Tem ciekawiej więc począł mu się przypatrywać... Twarzy mało mógł dojrzeć, ale ruchy widział żywe, gwałtowne, rękami okazywanie namiętne i chwilami krzykliwy głos go dochodził.

Władysław Odoniczow plwał co chwila, okręcając się to w tę to w tę stronę, a usta mu się nie zamykały. Towarzyszowi ukazywał na okolicę, na wały, rozpowiadał coś, przysiadł ku ziemi, garbił się, prostował, śmiał, mruczał i krzyczał na przemiany.

Tamten z powagą słuchał w milczeniu, rzadko słowem przerywając, częściej znaki tylko dając głową. Zdziwiło to Jaszka, że co miał przybyły przed książęciem Władysławem być z poszanowaniem jako dla starszego dostojenstwa, przeciwnie Płwacz okazywał mu cześć jakąś i ustępował nawet kroku.

Musiał to więc być ktoś bardzo blizki Światopełkowi, którego opieki i pomocy Płwacz potrzebował i jemu winien był ratunek, gdy z wygnania w mniszym habicie, jak mówiono, wymknąwszy się, przybył doń, znalazł przytułek — poślubił siostrę jego, a teraz swojej dzielnicy, ba całej Wielkopolski się dobijał.

Mniej go już dziwiło, że ów pan, któremu się Plwacz kłaniał, w drodze nań mało się oglądał.

Cała uwaga jego była zwrócona na Plwacza, na nim i na Światopełku swej zemsty pokładał nadzieję. Byli to jedyni ludzie, co przeciw Leszkowi otwarcie stawali.

Przyszło mu na myśl, iż sam to mógł być Światopełk, który do Konrada potajemnie jeździł a nie chciał być w Płocku widzianym, co go wielką napęliło radością...

Tymczasem już ku okopom się zbliżyli i Jaksza mógł przypatrzeć się zamczysku, które właśnie umacniano.

Spędzeni ludzie z osad wiejskich, niewolnicy, czerń odarta w lachmanach, niektórzy pół nadzy i w skóry tylko jako tako pozszywane, poodziewani z lopatami i noszami ziemię nasypywali, koły bili. Nad nimi stojący dozorczy z kijmi białymi i z biczami napędzali i krzyczeli. Z pośpiechem wielkim szła robota.

Zamek wydał się Jaszce dosyć mocnym, bo go wody dwóch jak miarkował rzek, oblewały do koła, moczary i jeziorzyska przystęp doń czyniły trudnym. Jedna hać wązka wiodła na gródek a i tę przekopać było łatwo...

Sam gród jak wszystkie ówczesne, nie odznaczał się żadnym budowaniem wytwornem. Wszystko tu było z drzewa, chrustu, kołów, gliny i ziemi. W środku ciągnęły się izbice u parkanów zasypane z góry i pokryte darnią, szopy i stajnie, a w głębi stał dworzec lichy, z bierwion sklecony, po nad którym wznosiła się strażnicza wieża, mało co nad wały wystająca. Nie służyła ona do obrony, tylko do rozglądania się po okolicy i zbudowana też była słabo, przejrzysto, byle drabiny do czego przyprzeć można.

Oprócz dworca nieporządnego, kilka namiotów dla ludzi stało rozbitych w podwórzu i dosyć służby koło nich się kręciło. Tu już książęcia więcej było poznać można, bo urzędników miał podostatkiem a i duchownych zaraz dostrzegł Jaszko kilku...

Do głównego namiotu Plwacz prowadził gościa, który szedł przodem, wielkiego poszanowania mu nie okazując.

Jaksza sposobił się jako tako tu umieścić, bo już na łaskę dowódcy nic nie rachował, gdy z namiotu wyszedł ksiądz i począł pytać o niego.

Oznajmił mu się jako kapelan książe Medan, dodając, że może się w dworcu rozgościć.

Wprawdzie w nim trochę duchownego poznać było można, bo suknia ciemna krój miała zbliżony do używanych przez duchowieństwo, lecz zresztą mało się Medan ów musiał troszczyć o przepisy kościelne, gdyż i obuwie miał noszone z ostrogami, i nóż u boku i czapkę z kłamrą pozłacaną na głowie, a wreszcie twarz młodą, nieogoloną, wąs do góry, a z włosów pięknie na ramiona spływających, tonsury się trudno było spodziewać.

Z ciekawością i ochotą zapoznania się Medan towarzyszył Jaksie do dworca, wprowadził go do pustej komory i zaraz na czeladź zawołał, aby słomy na posłanie dla spoczynku, ognia dla ogrzania przyniesiono i co należało gościowi.

— Nie spodziewajcie się wszakże — odezwał się wesoło — aby wam tu bardzo u nas było wygodnie. My sami tu obozem... co chwila się Laskonogiego spodziewamy pod zamkiem, będziemy się musieli bronić. Nasz książę ma wiele męstwa i wytrwałości, na swoim postawi, ale przecierpieć musimy i głodem przymrzeć. *Clericus curiae*, gdyż taki sobie tytuł nadawał Medan, mówiąc to uderzył nogami, aż mu ostrogi zabrzączały i rycersko się postawił.

— Jedziecie pono z Krakowa! — zawołał — tamci to ja w szkole bywałem, młodość spędziłem i miło mi go wspominać — lecz teraz ani tam zajrzeć. Myśmy z panem Leszkiem tylko że nie na noże...

— Ja też z nim nie lepiej — odparł Jaksza. — Powiedziano wam, com za jeden, domyślicie się reszty. Dosyć żem Jaksza, a tam kto tej krwi jest tylko cicho siedzieć w kącie i głowy nie wystawiać. Dobrze memu bratu co przy Iwonie jest, bo ten tylko o Panu Bogu myśli, a może o biskupim stołku po Iwonie... ale tego już do naszych nie liczyć.

— Jam tam wytrwać nie mógł!

Rozśmiał się Medan...

— Kto wie — rzekł — jak się z Leszkiem skończy!!

Umieściwszy tak Jaszka, któremu na sercu lżej się zrobiło, widząc że go nie lekceważą i pamiętają o nim — Medan wyszedł, obiecując go z sobą wziąć na dworski stół żołnierski, gdy polewka będzie gotową.

Minęła może godzina, gdy już nie kleryk z ostrogami, ale pacholę bardzo strojne w przepołowionej sukni, pół czerwonej, pół sinej, przyszło Jaksę do książęcego namiotu zabrać z sobą.

Szedł więc rad...

Opłotków uchyliwszy, znalazł się przed księciem Władysławem, który siedział obie ręce na kolanach sparłszy, a obok niego w pańskiej postawie ten z którym Jakska przybył. Patrzył on nań i ciekawie i szydersko.

— Oto Jakska mój — odezwał się do Płwacza. — Pokłoń się księciu, a teraz i mnie możesz, bo wiesz, że masz Światopełka przed sobą, któregoś chciał widzieć, a poselstwo od ojca sprawić.

W drodze mi się czem jestem nie zdało okazywać, tu w Uściu jużem jak w domu. A naprzód, wiedzieć masz, że my nigdy w Płocku nie bywali!...

Podniósł rękę do góry i rozśmiał się złośliwie...

Jakska się pokłonił obu.

— Mów — rzekł niecierpliwie Władysław — plując już po swojemu i perząc się. Jest tam kto w Krakowie coby rozum miał i tego gnuśnika przepędził?

— Na tych co by chcieli nie zbywa — rzekł Jakska. — Ojciec mój nie zapomniał swych krzywd, ani ja, ani my wszyscy ile nas jest. Leszek by już może wyleciał, gdyby go biskup Iwo i duchowieństwo nie podpierało.

— Nic to — przerwał Płwacz — ja też mam ich za sobą. O! tak! prawdą jest! bez nich nic, z nimi trzymać trzeba chcieli być cały i panować... Ja to wiem, ja ich obsypuję, ja im daję co chcą, niech sądzą, niech rządzą, niech monetę biją, niech z swoimi poddanymi czynią co się im podoba.

Laskonogi głupi jest, zadarł się z księżmi, przez to wyleciał precz z Krakowa... a i w Poznaniu się nie osiedzi... nie! księża mi pomogą.

Światopełk nań spojrział i dodał.

— Licz że i mnie, bo i ja się przydam na coś...

Nasza sprawa jedna. Leszek chce mieć daninę odemnie... chce bym mu się kłaniał — nie będzie z tego nic... Mnie pomorska starszyzna księciem swym okrzyknęła... Ojca mojego posadził Kaźmierz, płacił dań, ale to się skończyło, nie dam denara — takim dobry jak i on. A zechce wojny nie lękam się go.

Jaksie się serce radowało.

— Jeżeli macie za sobą Konrada — rzekł — nie ma się co Leszka obawiać...

Światopełk dał mu znak by nie mówił o tem.

— Konrad sobie, ja sobie, ja z nim nie mam nic — rzekł — z Leszkiem sprawa.

— I z Laskonogim — dodał Jakska.

— On nic nie znaczy — wyrwał się Płwacz — nic! źdźbło, pruszyna, słabizna. Wszyscy go opuszczają... polanie pójda za mną i za duchowieństwem. Pruchno! zgnilizna! Nogi mu się te długie połamią i padnie! We dwóch z Leszkiem choćby się za ręce wzięli — podążymy ich pokonać... Mali ludzie są...

— Ale biskup Iwo i krakowianie, a książę Henryk — rzekł Jakska. — Jam oto właśnie we Wrocławiu był — ztamtąd się nic dobrego spodziewać nie można.

Światopełk i Płwacz popatrzyli na się, potem na Jaksę.

— Słuchaj Jaszku — odezwał się pierwszy z nich — który widocznie miał tu stanowczy głos i przewagę. Wiem żeś Jakska i mój powinowaty, wiem że ci sadła zalali za skórę, żeś dużo przecierpiał, ale ja cię nie znam, czyś ty się na co zdał... Ojciec rozum ma i siłę...

— A ja mam serce i chcę zemsty! — odparł Jakska. — Czy się na co zdam poprobujcie. Już to zem uszedł z Krakowa do was, coś warto.

Światopełk popatrzył nań chłodno i rozważnie, a Płwacz nie śmiejąc się odzywać, oczy trzymał w niego wlepione.

— Żeście tu przybyli — rzekł powoli Światopełk — dobra jest rzecz, ale wyście nam potrzebniejsi tam niż tu...

Idźno spocznij — pomówimy o tem, ale mi się zda, że ja was nazad pchnę do ojca...

— Spoczynku ja tak bardzo nie jestem żądny — odezwał się Jaksza — ale i powrotu do ojca także.

Wy, miłoścywianie panie tego nie znacie, co to człowiekowi z zemstą w sercu siedzieć pod bokiem tego, komu się ją poprzysięgło... Ani pazury niedźwiedzie tak nie szarpia człowieka jak ta męczarnia.

— Zemsty chcesz — no! to pomagaj do niej — rzekł Światopełk. — Tutaj dwoje rąk twoich nie wiele przyczyni, a tam zrobicie więcej.

Nie z próżnemi rękami cię tam pošlemy, będziesz miał co wieść, ino się ja z panem bratem naradzę.

Jaksza chciał odchodzić, — ale się zwrócił jeszcze.

— Ksiądz mi tu mówił — odezwał się — że pod Uście Laskonogiego się spodziewacie. A nuż nadejdzie, to ja się z zamku wyrwać nie będę mógł. Jeśli chcecie mnie wysłać, trzeba wczas.

Światopełk niemal pogardliwie nań popatrzał.

— Przecie jam tu jest — rzekł — a i ja się nie chcę dać oblegać. No — a gdyby i nadszedł Laskonogi, myślisz że to tak łatwo obsaczyć tę dziurę dokoła?.. Czyż to ci koniecznie trzeba gościńca abys ztąd wyjechał? a czółenkiem po nocy, albo i po pas w bród — niemożesz?

Jaksza tą wymówką dotknięty trochę, nie rzekł nic, wyszedł cicho w podwórce, rozpatrywać się.

Wnet zobaczywszy go znany mu Medan zbliżył się ku niemu, już nie sam; obcego ciekawi, okrążyli go duchowni i Jaksza przekonał się, iż Plwacz nie darmo mówił, że z niemi był na dobrej stopie. Dwór jego obfitował w kapelanów, kleryków, pół duchownych i księży.

Wszyscy tu byli jak w domu, pewni siebie i pana — nie kryjąc tego iż mieli u niego przewagę... Gdyby Jaksza znał był ich, postrzegłby między niemi i z dzielnicy Laskonogiego tajemnie przybyłych, a nawet archidyakona z Poznania.

Dwór ten był bardzo dobrej myśli i wesołych nadziei — choć ów zameczek w Uściu nie wiele zdawał się obiecywać, czuli się w nim wszyscy bezpieczni.

— Prawda, — mówił Medan, — że tu w tym błocie i moczarach siedzieć nie wesoło, lepiejby było w Poznaniu lub Gnieźnie, ale przyjdzie i do tego.

Łajano i naigrawano się z Laskonogiego.

Piotr archidyakon poznański, począł to co zwał zbrodniami jego wyliczać — gwałtowny człek mówiąc o tem pohamować się nie mógł.

— Pomsta Boża przyjdzie na tego antychrysta — wołał — jak go wygnali z Krakowa, tak go wyżeną precz i z Poznania i z tej całej Polski... Nic świętego u niego nie ma, — kapłan, prałat, jego mienie, dziesięcina, skarbiec, — po wszystko sięgnąć gotów... Zbrodniarzy sadza po naszych domach i każe nam ich patrzeć, strzedz i karmić...

— Ale kościołom świadczył — dodał drugi...

— Ze strachu — odparł archidyakon — gdy widzi że go wykląć możemy, bo wyklniemy jak Bóg Bogiem. — Mnichów sobie dobiera, których lada kawałkiem lasu zaspokoi... a za to po nasze skarby sięga i po nasze prawa...

Moich ludzi mi chce sądzić swojemi podsędkami! A! wara! *Anathema* będziesz! — wołał ksiądz rozgrzewając się coraz mocniej. — *Anathema!*

Ksiądz Medan się uśmiechał. — Jaszko więcej tu słuchał niż się sam mieszał do rozmowy, pytano go o Kraków, malował go po swojemu..., a że sprawę Laskonogiego jednoczono tu z Leszkową — radzi byli wszyscy że na niego sarkano.

Dzień tak upłynął do wieczora, a Jaszko, który się był umęczył podróżą, u stołu dobrze podjadłszy i napiwszy się, znalazłszy kilku Niemców wesołych do kubka, resztę godzin spędził w ich towarzystwie.

Mówiono że Światopełk rano nazajutrz jedzie do siebie na Pomorze — czekał więc co mu rozkaże.

Późno już w noc, miał ledz gdy go do namiotu zawołano.

Plwacz ze szwagrem siedzieli prawie tak samo jak zrana. Gdy wszedł Jaksza, Światopełk wstał i podszedł ku niemu.

— Postanowiłem tak jakem rzekł, — odezwał się — tobie trzeba nazad.
— Ano tam już mnie pewnie wywołali i na gardło skazali! — mruknął Jakska.
— Od czegoż ojciec? — odparł Światopełk. — A nie mogłeś to miesiąc w lesie przesiedzieć zabłąkawszy się, albo u druha — czy oni mają koniecznie wiedzieć gdzieś ty bywał?

Uderzył się w czoło...

— Rozum powinienes mieć, a jeżeli go nie masz, na cóżes się zdał, — ciągnął dalej.
— Dobrze jest mieczem walczyć, gdy inaczej nie można, ale chytrością lepiej, gdy ją kto ma...

I stanąwszy naprzeciw niego mówił powoli.

— Leszka stłuc w polu — choćby i Henryka po sobie miał i Laskonogiego, dalibyśmy radę — ale ludzi szkoda i nas też — obejdziemy się mniejszem...

Niechaj ojciec poddaje że my do zgody, do rozmowy, do układów skłonni, że my, baranki! Niechaj tu gdzie, w bliskości granic wiec naznaczą — niechaj Leszek zjedzie jako rozjemca — a już resztę my potrafiemy... Rozumiesz ty? w to trzeba bić.

Jaksie nie w smak poszło co Światopełk powiedział, stał namarszczony...

— Niech Miłość Wasza mi przebaczy — odezwał się. — Co z tego będzie? Naznaczą zjazd, napłynie rycerstwa, duchownych, będzie tak jak nad Dłubnią z ks. Henrykiem, ręce każą podać i zgodę zapiją.

— Alem ja nie Henryk! nie! — buchnął gwałtownie Światopełk, za ręce go chwytając tak że mu się silne palce jego wpiły w ciało. — Mnie nie nastraszy nikt, ani Biskup, ani rycerstwo... ani Leszki...

Po białkach śnieżnych ogniście przemknęły mu się źrenice.

— Rób jak ci mówię — dodał Światopełk, — bo wiem co mówię, i wiem co uczynię, a co powiem to się stanie...

Skończymy na zjeździe — ano nie tak jak ty myślisz...

Odstąpił krok.

— Mów co ci przykazuję, — powtórzył, — ojciec niech nakłania do zjazdu, do rozmowy. Przyjadę ja, przybędzie Odonicz. Niechaj miejsce mi takie naznaczą tylko abym niedaleko miał ciągnąć — bo ja się od mojej granicy oddalać nie chcę, i nie wierzę im... Rozumiesz co ojcu powiedzieć!

Powód do zjazdu jawny. Odonicza z Laskonogim jednać trzeba, a ze mną też skończyć o tę daninę, której ja nie dam. Ale niech się oni jej spodziewają...

Jaszko nie sprzeciwiał się już. Poselstwo to wprawdzie nie było mu do smaku, lecz patrząc i słuchając Światopełka oprzec mu się było trudno.

Był on jednym z tych co mają nad pospolitemi ludźmi przewagę ogromną, co rozkazywać umieją, sprzeciwienia się nie cierpią.

Jaksie wydawały się plany te bardzo trudnemi do wykonania i niepewnemi, Światopełk się nie spowiadał przed nim z ich końca — lecz dla Leszka nie mógł on być pomyślnym. Słaby i łagodny książę krakowski nie był w sile walczyć z energicznym i przebiegłym pomorskim księciem.

Odonicz wstał też potwierdzając po swojemu urywanemi słowy, które gęste plucie na pół rozcinało — co szwagier powiadał.

— Próchno! słabizna — lichota! wszystkich ich pokonamy — nie zmogą nas... Zjazd — niech będzie zjazd! Niech duchownych naściąga, ja ich przez moich ponawracam...; zatkam im usta złotem, nadaniami... Niech się zjadą... będziemy robili zgodę...

— Przywiesim do niej pieczęć czerwoną! — dodał Światopełk.

Raz jeszcze i drugi powtórzono Jaksie co mówić miał.

— Rano jutro, w drogę! — klepiąc go po ramieniu odezwał się Światopełk, — a pamiętaj o tem że umieć milczeć to rozum większy niż umieć gadać...

Pilno im tak było Jaszka wyprawić z Uścia że go do dnia ludzie Odoniczowi zbudzili... — Opatrzono go na drogę, chciał jeszcze ze Światopełkiem widzieć się i pożegnać, powiedziano mu że już go w Uściu nie było. Nocą wymknął się dalej ku domowi.

Ks. Medan, który był wstał, sam jeden tylko życzył mu drogi szczęśliwej.

Znowu więc sam, w nieznannej okolicy, z kilkorgiem czeladzi nie zbyt świadomej dróg, znalazł się Jaszko, tyle tylko wiedząc co mu w Uściu rozpowiedziano głucho o gościńcach i przesmykach...

Deszcz padał noc całą, ziemia była rozgrzeta, a Jaszko kwaśny i zły tak że nim za hacie wyjechali na suchszy grunt i konia zcwiczyl i sluge obil a klal nieustannie.

Zła to była wróżba na drogę. Raźniej mu się dopiero zrobiło gdy z trzęsawisk i błot do lasów się dostał. Chociaż przestrzegano go by wielkich dróg unikał, Jaszko ufny w siebie a leniwy nieco, dla wygody puścił się gościńcem. Co gorzej, pomyślał że miasto wprost dążyć do Krakowa, nie byłoby od rzeczy nawrócić do Płocka i tam spocząć a z Sonią się zobaczyć... Baba go doskonale karmiła i poila, a Jaszкови przysmaki te nie były rzeczą obojętną.

Poselstwo nie zdało mu się tak pilnem aby dla niego karku nastawiał, owszem, w pole wyruszywszy, gdy Światopelka nie miał nad sobą, znowu powątpiewał czy pomorski pan miał słuszność. Zły był na niego, że mu powracać kazał tam z kąd się ledwie wydobyl.

Nie wątpił że ojciec go swą powagą osłoni, lecz rozpocząć życie na nowo obmierze, chować się i gnuśnieć w kącie — było mu nieznośnem.

Gdy się wybrali na gościńiec wielki, Jaszko cokolwiek poweselał, deszcz też ustał a piaszczysta droga nie tak była dokuczliwa... Tu i owdzie stała karczma, znalazła się szopa, było gdzie spocząć, do kogo zagadać.

Miało się ku wieczorowi, gdy Jaszko o noclegu pomyślał. Przejżdżający ludzie oznajmili mu gospodę w pół mili, przy której bezpiecznie było można się położyć. Stawali w niej zwykle kupcy, odpoczywali podróżni, piwa dostać było można i chleba, czasem ryby bo jezioro było niedaleko.

Miejsce to zwano Postojem... Popędził konia Jaksza żwawo i ani już patrzył przed niego zatopiwszy się w myślach, gdy z tyłu usłyszał krzyk jednego z czeladzi swjej. Podniósł głowę mając ją zwrócić ku niemu, ale przed sobą ujrzał widok, który wywołał głos pacholka.

Spostrzegł teraz dopiero, że nieopatrznie jadąc, natknął się na jakieś ogromne, rycerskie obozowisko.

Postój już widać było o stai parę, a dokoła jak okiem zajrzeć, leżał lud mnogi. Stały konie, namioty były jedne rozbite, drugie właśnie naciągano... Lud ten tylko co był widać z przeciwnej nadciągnął strony.

Jaszko byłby się cofnął, gdyby nie to, że go postrzeżono, kupa ludzi z których połowa była na koniach, stała tuż. Uciezka niemożebną się zdawała. Nie wiedział zaś Jaksza co za obóz mógł być i tknęło go, że najprawdopodobniej wojsko musiało być Laskonogiego, który zdązał pod Uście.

Nie było już innego sposobu jak iść po rozum do głowy, aby nie popaść w ich ręce. Przybywał od strony Uścia, więc i podejrzanym być musiał iż do Odoniczowych należał...

Nim konia potrafił zatrzymać, już się znalazł z ludźmi osaczonym do koła, wziętym niemal.

Stary, siwy w pół zbroi człek wołał:

— Stój? coś ty za jeden?

Jaksza myślał co odpowiedzieć, a nie rychło przybywające na usta słowo, budziło podejrzenie.

— Kto? z kąd? — powtarzano do koła...

— Od Płwacza musi być! z Uścia!

Jaszko milczał, do siwego się obrócił w ostatku.

— Z Krakowa jestem, od pana Leszka, posyłam był za dworską sprawą.

W tem jeden z otaczających jął mu się przyglądać.

— Nie prawda! — zawołał — ja cię znam, tyś Jaksza! Jaszko Jaksza.

— Ani się zapieram tego — odezwał się śmielej Jaszko — ale chyba tego nie wiecie, że znowu u pana w służbie jestem. Przecie wiadomo kto ojciec mój.

Ten co mu zadał, że Jakszą był, głową poczał kręcić. Naradzano się cicho. Siwy człek, który miał tam zwierzchność w obozie, nie mówiąc co myślał i zamierzał, rzekł sucho:

— Zsiądźcie no z konia. Przenocujecie w obozie, jutro księżciu damy znać, bo go tu nie ma. Od Uścia jedziecie, oczywiście albo po język lub z językiem, a my na Uście idziemy, aby lisa z jamy wykurzyć!...

— Wziąć go aby nie uszedł — dodał ten — co poznał że był Jaksza.
— Uchodzić nie mam czego i nie myślę — zawołał Jaksza. — I tak miałem tu nocować.
— Toś się dobrze wybrał! — rozśmiał się inny. Straż będziesz miał bezpłatną i koni ci nie pokradną.

Rad nie rad Jaszko z konia złązić musiał, ludzie go otoczyli, drudzy czeladź milczącą badać zaczęli czy nie z Uścia jechali, ci słysząc i miarkując o co szło, zapierali się; ale nie umieli powiedzieć z kąd na tę drogę się wybrali.

Wszystko to mnożyło podejrzenia. Patrzano na Jaszka z ukosa i nie dano mu się oddalić. Nie chciał się im wypraszać, udając że pewnym siebie był, rachował też na bliższe poznanie się i lepsze usposobienie po piwie, które z beczek na wozach właśnie toczono...

Omyliły wszystkie te rachuby, gdyż starszyzna poszeptawszy z sobą oddaliła się a ciury otrzymawszy rozkaz strzeżenia go do jutra, obsiadły dokoła i tyle tylko że mu zostawili miejsce aby się mógł na zdjętem z konia siedzeniu położyć...

Jaksza nakrył głowę i sennego udawał, ale sen go nie myślał brać. W obozie też gwar, rżenie koni, śpiewki i bójki całą noc prawie trwały. Chociaż się napaści nocnej nie spodziewano od Plwacza, miano się jednak na pieczy. Nocą jeszcze też nowe oddziały przybywały.

Kilka razy uchylił opończy Jaszko patrząc czy się straż nie pośpią i czy mu się wymknąć nie uda. — Zawsze ktoś czuwał, chodził, patrzył, a od koni i ludzi oddalonym był, tak że się do nich dobrać po ciemku nie było łatwo.

— Otóż tobie wielki gościnniec! — mruzczał Jaszko w duszy przeklinając go, — trzeba mi było wygody zachcieć i za gospodą gonić...

W głowie próżno szukał co miał przed Laskonogim powiedzieć... i dokąd go posyłano. Ze zgrzyoty i umartwienia zasnął ledwie nad rankiem..., gdy z ciężkiego snu zbudziło go uderzenie w bok i wołanie.

— Wstawaj!

VIII

Dzień był biały, tuż o kroków kilka na koniu czarnym z długą grzywą stał mąż dobrze niemłody, lat mieć mogący pod sześćdziesiąt, długiej twarzy, rysów stężonych, żółty i wynędzniały, szczególnie długich i cienkich nóg, które w obcisłych spodniach niemieckich, jeszcze dłuższe i cieńsze wyglądały niż były...

Dodawały im niepotrzebne już wzrostu, buty sznurowane u góry, obcisłe, zakończone nosami ogromnymi, zakrzywionymi, ubraniami w mosiężne, błyszczące skóWKi.

Plaszcz ze szkarlatu ciemnego, bramowany i podszyty futrem, spływał mu z ramion, a pod nim widać było rodzaj koszuli pancernej z żelaznych kólek misternie splecionej, z blachą na piersiach stalową, w kręgi pozłociste przyozdobioną.

Wypukły guz świecący środek jej zajmował. Na pasie złoconym miał u boku miecz, a na haku u koszuli zawieszony mieczyk mały. Ręce ubrane były w pokryte z wierzchu żelaznami blachami rękawice. Koń na którym siedział miał też kapę naszywaną żelaznami łuskami, ozdobną kutasami i wisadły.

Twarz jego obojętna, blada, nic lub nie wiele mówiąca, jakby życiem znudzona, nie miała wyrazu, któryby z niej coś odgadnąć dawał. Patrzył oczyma bladymi, zmęczonymi, bez zajęcia dokoła, oglądał się i nie widział.

Siwy już mężczyzna z odkrytą głową, hełm lekki trzymając w ręku, stał przy nim i opowiadał mu coś, wskazując na leżącego jeszcze na ziemi Jaszka.

Nie wiele to obchodziło słuchającego, który tam i sam tymczasem patrzył.

Poza nim stojący na koniach i pieszo dwór rycerski — chorągiew na wysokim drągu niesiona z jeźdźcem w polu czerwonym, — mówiły że to być musiał książę, Władysław starszy Laskonogim zwany.

Wprawdzie strój bogaty, dwór pański dostojęstwa książęcego domyślać się kazały, ale władza jego czuć się nie dawała w otoczeniu.

Każdy tu sobie poczynał jak chciał, dokoła nawoływano się głośno, rozkazywano, sprzeciwiano się, kłócono, książę obojętny i zimny wcale na to nie zważał.

W obozie ładu i zgody nie było, porządek mały, wrzawa okrutna, nikt o to nie dbał, jakby w obyczaj weszło życie w takim zamęcie.

Jaszko spostrzegł prędko, podnosząc się z ziemi i szykując do rozmowy na którą go wołano, że nawet ze stojących za księciem niektórzy lekce go sobie ważąc pokazywali palcami i szydzili z cicha.

Najczynniej w tem otoczeniu Laskonogiego odzywali się i gospodarowali dwaj niemłodzi rycerze, których nazwiska obili się Jaksie o uszy.

Byli to znani nieprzyjaciele Odonicza, prześladowani przez niego Borzywój ze Śremu i bogaty Sędziwój, oba ziemianie możni. — Zdawna się na nich odgrażał Odonicz że połapawszy jak zbójów, bez wykupu pościnać ich każe — bodaj nie czekając sądu, choćby miał za ich duszę dać po wsi do jakiego klasztoru, bo tak się wówczas często za zabójstwa wykupywano.

Przebudzony Jaksza, zwlekał stawienie się przed Laskonogim, choć go popychano, szarpano i gwałtem ciągniono. Poprawiał odzież na sobie, w posłaniu czegoś szukał, tymczasem myślał co mówić będzie.

Książę Władysław starszy, który się sam tak zwał dla odróżnienia od młodszego Władysława Odonicza, nie okazywał najmniejszej niecierpliwości, ani nawet zajęcia tym człkiem, którego mu jako szpiega stawić miano. Spoglądał nań, poziewał, nie nagłąc aby prowadzono.

Za to Borzywój brodaty i Sędziwój, który poważnie bardzo występował, lecz gwałtownym był i rozkazującym — pierwsi się ku Jaksie rzucili, pytaniami go głuszając i chcąc wyciągnąć z kąda, poco i od kogo jechał, co tu robił, i t. p.

Borzywój targał go za ramiona, Sędziwój głos podnosił i brwi marszczył.

Ci co stali z boku, nim się Jaksza namyślił odpowiedzieć, poczęli wykrzykiwać że był — Jakszą z Krakowa. Drudzy poddawali iż od Płwacza jechał pewnie.

Skupiano się do koła.

Laskonogi dawał im krzyżać i cisnąć się, cierpliwie stojąc na koniu nieruchomy i czekając końca, który go mało obchodził.

Borzywój, widząc że się Jaszko ociąga, wręście za ramię go silnie ująwszy, popchnął przed księcia, aby się tłumaczył przed nim. Widząc że tu wielkiej karności nie było, a sam książę nie zbyt się jego sprawą zajmował, Jaszko odzyskał odwagę.

— Miłościwy książę, — rzekł przystępując do niego z pokłonem, — nie zapieram się kto jestem... Poznano mnie tu przecie, twarzy sobie nie umazałem... Jaszko Marka Wojewody syn — toć prawda.

Posłano mnie od pana Leszka za pilną sprawą, powracam do Krakowa.

Popatrzwszy nań trochę, Laskonogi usta wyduł i odparł flegmatycznie:

— Za jaką sprawą was posłano?

Umilkli ci co dokoła stali, a dotąd nie zważając na przytomność księcia dosyć głośno się spierali z sobą.

Jaszko ośmielał się coraz więcej.

— Miłościwy panie — odezwał się, — nie mogę mojego pana spraw rozgłaszać, kiedy mi nakazano abym język za zębami trzymał. Zdrajcą niechcę być.

Borzywój i Sędziwój pilno nań patrzali, potrząsając głowami, książę z góry także poglądał, lecz nie poruszał się wcale... Odpowiedź zdawała mu się słuszną — spojrzął na stronę. Wnet drudzy zakrzyczeli szydersko.

— Wykręty! musisz ty gadać i tłumaczyć się, bo inaczej cię nie puścimy. Wojenne prawo takie... a ty wprost od nieprzyjaciela jedziesz!

— Albo to my nie słyszeli — dodał inny — co Jaszko zrobił z Odrowążami? Wszak ten sam jesteś co cię precz z kraju wygnali i do Czech musiałeś uciekać. — Leszek cię na gardle chciał karać — a terazby cię posyłał za tajemną sprawą?? Ale! ale!

Jaszkowski krew do głowy biegła — zasromał się, w gardle go dusiło.

— Kiedy wszystko wiecie, — zawołał, — to i o przebaczeniu powinniście wiedzieć... Ojcu i mnie pan łaskaw przebaczył, a my mu służym wiernie. Marek Wojewodą jest jak był.

— To prawda! — odezwał się Laskonogi.

— Miłościwy panie — wtrącił Borzywój — ojca sprawa a syna nierówne. Marek dawno powrócił po Dłubni, a synowi nie było wolno się pokazywać. Oni zemsty szukają..., pewnie do Uścia jeździł, albo do Światopelka, bo to jedna krew...

— A i to prawda! — rzekł oziębłe Laskonogi.

— Więc go nie puszczaj, bo on odsiecz naprowadzi nas, — wołał Borzywój — to ptaszek!

Jaszko odwrócił się ku Laskonogiemu, wzywając jego opieki, ale ten oczyma badał swoją radę, niepewien, i milczał.

Wszyscy niemal Borzywojowi wtórowali.

— Nie puszczaj!

— Niechaj się złoży z czem jechał.

— Niech przysięże! — wołano.

— Mnie czekają w Krakowie, i pilno wracać kazano — odezwał się ku księciu Jaszko.

Rozśmiało się kilku...

— Pewno ci pilno! a no, poczekaj!

Książę nie wydawał sądu żadnego, żuł coś w ustach i czekał..., chcąc by go wyręczono.

Rzecz w jego przekonaniu nie musiała mieć wagi wielkiej, chociaż niektórzy do niej zbytnią przywiązywali.

— Pójdzie z językiem, policzywszy nas — mówił Borzywój. — Jak weźmiemy Uście to go uwolnim!

Sprzeczkę i rozhowory poczęły się znowu głośnie i swobodne, hałaśliwe tak jakby o księciu zapomniano.

Jaksa bywały człek, choć na niego następowano ostro, pomiarkował że dlań najlepszym było zyskać na czasie, zwąchać się z ludźmi, a później znajdzie się sposób wymknięcia. Odezwał się więc jakby lekcewał tę niewolę.

— Każe Jego Miłość zostać w obozie — cóż mi tam? — będę siedział. Spytają mnie potem com robił, powiem. Tyle tego, wina nie będzie moja.

Obojętność z jaką to rzekł, dobrze udana, zrobiła pewne wrażenie na księciu, który popatrzawszy nań, spytał.

— Dawno ty z Krakowa?

— Tygodni kilka — odparł Jakska.

Borzywój który się lękał aby książę nie złagodniał, przystąpił do niego, rękę na koniu położył i cicho rzekł.

— Nie może to być aby go wolno puszczaj. Dowodu nie ma że go posłano, a Jaksowie ludzie niepewni. Jak Uście opanujemy, niech rusza oznajmić...

Książę nie sprzeciwił się, ani potwierdził — słuchał. Napróżno zwracał ku niemu oczy Jaszko, on ich unikał. Nie dawał żadnego znaku.

Korzystał z tej chwiejności księcia siwy oboźny co wczoraj pierwszy Jaszka ujął, odepchnął go na bok od książęcego konia i rzekł rozkazująco.

— Zostaniesz w obozie!

Spojrzał po swoich!

— Hej, Wojbór!

Na zawołanie to zbliżył się żołnierz w pancerzu łuskowym, z głową kudłatą jasnemi włosami okrytą, uzbrojony dosyć lichy.

— Wojbór! weźmiesz go z sobą, i mieć będziesz na oku! — aby nie uszedł.

Usłyszawszy to, młody żołnierz przystąpił do Jaszka i milcząc wskazał mu drogę. Nie było się co opierać, rzucił jeszcze okiem na księcia roztargnionego Jakska i poszedł posuszny.

Okolo Laskonogiego kupili się ludzie i trwała głośnie narada. Słuchać było jak jedni nastawali żeby nie tracąc czasu iść na Uście, drudzy chcieli żeby się wprzód rozśluścić i rozpatrzyć. — Powolniejsi radzili odpoczywać tu jeszcze przez dzień — gorętsi zaraz pospieszać chcieli przeciw Odoniczowi nimby się na gródku umocnił. Skończyło się na tem że opieszalsi głośnie krzycząc przemogli. Niewielki oddział postanowiono wysłać na podjazd, a książę u Postoju do jutra miał zostać i spoczywać.

Poprowadzono jak w tryumfie Laskonogiego ku szopie, którą miał zajmować. Poza nim jeszcze się dowódcy kłócili i ujadali.

Jaszka tymczasem Wojbór na stronę powiodł i pod drzewami u ogniska przy sobie posadził. Pilno stróżowi swemu przypatrywał się Jaksą, miarkując czy mu łatwo da radę. Prosty człek zdał się być, ziemianin ubogi, z dziecka po obozach służący, a na sprawę obojętny, byle miał chleba kawałek i łup nadzieję.

Z oczów mu wielka bystrość nie patrzała. Jaksą nabrał otuchy.

Usiedli pod pniami zawiązując rozmowę poufałą, którą więzień starał się uczynić przyjemną, bo mu szło o pozyskanie stróża. Ten też głaskać się dawał, dobrodusznie słuchał i śmiał się.

Jaszko udawał wesołego i obojętnego — zaczęto myśleć o jadle i napitku. — Pierwszego nie było w obozie tylko najprostsze — chleb czerstwy, mięso suszone, kasza którą z worów dobywano do kociołków. — Za napój była woda brudna i piwo kwaśne.

Wojborowi i na tem było dosyć, popsutszej gęby Jaszko krzywił się. Miał coś przy koniach zapasu z Uścia — zawołał swych ludzi, kazał im stać niedaleko i żywnością ze stróżem się podzielił.

W obozie gwar nie ustawał. Tu i owdzie pochwytny wyrazy na uboczu dawały się dorozumiewać Jaksie że nie wszyscy tu z Laskonogim trzymali, chociaż z nim szli.

Odzywano się różnie.

Podjadłszy Wojbór obojętny, położył się na ziemi i, mimo hałasu usypiać począł... Jaszki się spać nie chciało, bo mu niewola doskwierała, myślał jak się z niej wyrwie.

Zdrzemnął się właśnie Wojbór, i z otwartymi ustami leżąc, chrapać już poczynał, gdy dwóch ziemian zbliżyło się do ich ogniska. Uzbrojeni dobrze, wyglądali na starszyznę.

Oddawna już zdala ich sobie przypatrujących się widział Jaszko..., dopiero gdy Wojbór usnął przystąpili doń, kołując ostrożnie i oglądając się poza siebie.

— No cóż — odezwał się jeden pół głosem — w drogęśmy wam wleźli, na złą godzinę!!

Jaksą ruszył ramionami.

— Co robić!

— Nie bardzo to bierzcie do serca — rzekł drugi. — Albo nocą lub nadedniem, gdy się popiją i posną, pojedziecie sobie.

Pierwszy dodał z cicha, patrząc na Wojbora.

— Wy taki z Uścia? he?

Jaksą chciał zaprzeczać, gdy drugi wtrącił.

— Nie bójże się...! Co ty myślisz że my na Uście idziemy?! I my i kupa tu duża takich co ciągniemy z Laskonogim dlatego — aby się łatwiej do Odonicza dostać.

Jaksą patrzył i słuchał z pewnem niedowierzaniem, gdy towarzysz mruknął.

— Władysław starszy młodszemu nie da rady — tamten żwawy chłop, ten swojego niepewny. To mu się chce to mu się odechciewa...

Pochyliwszy się szepnął drugi.

— Uście mocne?? he? Mają oni tam ludzi? Światopełk ci mu pomoże?

Jaksą milczał jeszcze gdy oba poczęli nagłaco.

— Nie wzdrażajcie się mówić, my, swoi! Trzeba będzie, pomożemy do ucieczki.

Dopiero się Jaszko ocknął i dał znak ręką że im za to dziękował. Posiadali przy nim na ziemi, starszy się do ucha Jaksie nachylił znowu.

— Grodzisko tam mocne? — zapytał.

— Nie dojdziecie do niego ani na strzał z kuszy, ani na strzał z łuku, bo błota i trzęsawiska dokoła — począł Jaksą. — Jedna suchsza hać prowadzi do bramy — a i tę zawczasu przekopią. — Będą się trzymali póki chleba stanie.

Przybyli pokiwali głowami i rozśmiali się wesoło.

— Ludzi pewnie dosyć ma — rzekł jeden — jakby mu brakło, to z naszych pójdzie dużo, bo się na to nagotowali.

— A Medan tam jest? — zapytał drugi.

Jaszko głową potwierdził.

— Wam pewnie się ztąd wyrwać pilno — poczęli znowu po chwili, przekonawszy się że Wojbór chrapie, — nie śpijcie tylko w nocy, ludziom każcie żeby konie mieli pod ręką. Mają oni tu dosyć bez tego do roboty i strzedz was bardzo nie będą.

Ścisnęli się za ręce, poszeptali jeszcze między sobą i rozeszli się.

Jaszko nabral serca, lecz pośród długiego dnia jeszcze się miało zmienić jego położenie, a przynajmniej na to się zanosilo i nowy dowód go czekał jak Laskonogi słabym był we własnym domu.

Z południa przyszedł komornik, który go po całym obozie szukał i hukał, aby zaprowadzić pod szopę do księcia. Laskonogi tu odpoczywał na sianie, wpośród dworu swego. Zobaczywszy Jakse, dał mu znak by przystąpił.

— Prawda to że cię Leszek posłał z Krakowa? — zapytał niedowierzająco a chłodno razem.

— Tak jest! tak jest, miłościwy panie! — rzekł Jaksza. — Ojca mojego znasz Miłość Wasza, on mnie z polecenia pana wysłał.

— Powinieneś mówić prawdę i duszy nie gubić — dodał Laskonogi. — Ja wierzę że tak jest! no — i puścić cię gotowem kazać... Jedź z Bogiem, wprost do Krakowa, dam ci jeszcze poselstwo...

Popatrzał mu w oczy, a Jaszko ani mrugnął.

— Powiesz bratu memu miłemu Leszkowi że ja tu, pod Uściem. Będę je oblegał, wezmę. Odonicza ułapię i posadzę w bezpiecznym miejscu, aby się znowu nie wymknął. Niech Leszek mi pomoże... Rozumiesz to? On klechów ma w ręku, a oni mnie szkodzą, nie wiedzieć za co. Daję im czego zażądają, im nigdy dość. Jać wiem że panowanie przy nich, — i dla tego syna jedyne go dałem do Magdeburga aby księdzem był i — panował.

Iwona Biskupa Leszek niech uprosi aby trzymał ze mną, jak on na klechów zawoła, zaraz sprawa stanie inaczej. Dam mu ziemi pod klasztor..

Chłodno, dziwnie rozśmiał się Laskonogi, i ciągnął dalej.

— Mów mu, niech mi oni pomagają. Moja sprawa, jego sprawa. Jeżeli Odonicz z Światopelkiem mnie wypędzą, wygnają i jego. Musi mnie bronić, chcieli siedzieć na Krakowie. Odonicz chytry i niespokojny, żarłoczny. Światopelk zbój, krnąbrny, a my z Leszkim w zgodzie żyjemy...

— Będę ja wiedział co i jak mówić — odezwał się Jaksza — gdy mnie miłość wasza uwolnić każe. Poselstwo sprawię wiernie.

Książę Władysław ruszył się i kazał komornikowi Borzywoja powołać. Przyprowadzono go z za szopy, za nim zaraz szli inni, choć nie wzywani.

— No, co? — ozwał się Laskonogi — puścić by tego Jakse, niechaj sobie wraca do Krakowa.

Stary ziemianin stał ramionami potrząsając.

— To nie może być — rzekł chłodno — tego czleka znają, wiedzą... Szpieg jawny jest, naprowadzi na nas...

Zdało się jakoby Laskonogi chciał się opierać, wtem na odgłos rozmowy z obozu ściągający ziemianie, poczęli za Borzywojem mówić i przeciwieć się.

Ze dworu kilku odezwali się za księciem ale nieśmiało, Borzywojowi głos podnosili coraz mocniej. Kołem stojąc przy łożu, nad głową Władysława ucierali się — on już milczał. Słomę dobył z pod siebie i gryzł ją.

Stał Jaksza czekając jak się to rozwiąże. Wrzawie coraz rosnącej nie było końca.

W końcu zwrócił się z zapytaniem do księcia, który popatrzawszy do koła, nie odpowiedział nic. Sprzeczali się, a książę Władysław głowę opuściwszy słuchał.

Borzywój który z Sędziwojem i wielu swojemi najgłośniejsz dowodził, że pochwyczonego trzeba było trzymać — popchnął Jakse i kazał mu na swe miejsce powracać.

Odchodząc słyszał jeszcze zdała jak się ucierano i śmiał się już w duchu.

— E! no! — mówił sobie — z takim ładem nie straszni oni Odoniczowi. Prędzej on ich niż oni jego pobiją.

Legł znowu na ziemi przy Wojborze, rachując na ciemną noc że ujdzie.

Ci co mu dopomóż obiecywali ciągle krążyli zdała i mieli nań oko. Straż około niego bardzo sroga nie była. Odwołał ktoś Wojbora, który gdy powrócił nierychło, jakby go spojono umyślnie, napiły był i kłodą na ziemię się obalili.

Na dworze robiło się ciemno, w obozie niedogasłe tylko świeciły ogniska, ale noc nie sprowadziła ciszy. Obok beczek pijatyka się rozpoczęła, śpiewy, po tem bójk i krzyki.

Ledwie jedne uśmierzone, gdy starszyzna na okrwawionych wpadła i wiązać ich ka-
zała, już druga gdzieś walka powstawała. Tłum się tam zaraz zbierał i cisnął biorąc stronę
jednych lub drugich, krwawiono się znowu i rozbrajano.

Całe to obozowisko przedstawiało obraz największego rozpasania. Wśród zajadłej
kłótni kilkunastu zbrojnych ziemian zerwało się jawnie odgrazając i natychmiast uszli
drogą ku Uściu bezkarnie do Odonicza a nocna pogoń ująć ich nie potrafiła.

Jaszkowi więc łatwo przyszło, gdy psykanie posłyszał, porzuciwszy Wojbora śpiącego,
dostać się po cichu do swych ludzi stojących na skraju, sięść na koń i do dnia ukryć
w gęstwinie.

Zdała dochodziły go i tu głosy z obozu Laskonogiego, ale przypatrzwszy mu się
zblizka, nie lękał się by go ścigano.

Starszyzna zbyt wiele miała do czynienia z ludźmi własnymi, ksiączę nie myślał go
zatrzymywać, czuł się więc bezpiecznym. Rano wszystka ta gawiedź miała pod Uście wy-
ruszyć.

Dalsza podróż Jaksy szczęśliwiej mu się już wiodła, choć o chłodzie i głodzie, którym
tak przymarł i znużył się, że zamiast wprost do Krakowa dążyć, postanowił do Wrocławia
zajechać i u Sulenty odpocząć. O Płocku już nie myślał.

Lice mu się rozjaśniło, gdy naostatek bramę miejską pominąwszy w miasteczku się
znalazł, a tuż i znajomy się nadarzył, choć nie taki może jakiego życzył sobie.

Jechał zwolna, bo konie już nogami ledwie wlokły, gdy błazen Trusia go poznał, zdjął
przed nim kołpak, niemieckim obyczajem z kukawką na wierzchu, i pokłonił się do ziemi
samej — w nadziei, że się znów przy jego miłości pożywi.

Do dworku Sulenty dobry kawał było drogi, Trusia wziął sobie za obowiązek towa-
rzyszyć miłości jego i zabawiać ją.

— Wasza miłość do nas pewnie na te gody! — rzekł uśmiechając się.

— Jakież u was gody u licha, jeszcze do godów daleko! — odparł nie bardzo rad
towarzyszowi temu Jaszko.

— Toć dla Niemców gody — mówił błazen — udało się im pochwycić polaka na
gorącym uczynku i to jeszcze biskupiego brata... Będą go sądzili, to im dopiero gody, aż
się oblizują.

Jaksa konia zatrzymał.

— Co pleciesz? — zawołał — co za błazeństwo prawisz?

— Nie żadne błazeństwo — odparł śmiesznie poważną robiąc minę błazen. Wasza
miłość się przekona, że Trusia nie kłamie; ale błazen choć prawdę rzecze, nikt mu nie
wierzy, dla tego mu gadać wolno...

Jaksa stał i słuchał.

— Mówże ty mi tak bym zrozumiał — dodał.

— Cud się stał u nas, stary brat krakowskiego biskupa z zamku mniszkę ukradł i wiozł
ją na koniu, gdy go ksiączę ludzie napadli i chwycili. Prawda że dwu ubił, a kilku ręce
polał, ale Niemców dosyć jest, niewielka szkoda! A starego powiadają że zetną...

Słuchający jeszcze nie rozumiał, a Trusia stojąc przy nim kołpakiem potrząsał i śmiał
się.

— To dopiero gody! — powtarzał.

— Inaczej to musiało być! — przebąknął nareszcie Jaksa, koniowi znowu dając ostro-
gę. Trusia obok kroczył.

— Kto to może dobrze wiedzieć co po nocy było — mówił — dosyć że starego
związali i do więzienia wrzucili, a teraz się do sądu zbierają.

Przybyła zaraz nasza święta pani księżna z Trzebnicy po swoją mniszkę i padła słysząc
mężowi do nóg, prosząc aby sprawiedliwość wymierzył...

Na zamku już pieniek nagotowali, na którym ścinać mają.

Niecierpliwymi ażeby się coś o tym wypadku dowiedzieć z lepszych ust niż Trusiowe,
bo tym nie dowierzał, pospieszał Jaszko do dworku. Błazen go nie opuszczał i kłusując za
nim a śmiejąc się, ciągle mu coś rzucał do ucha.

Tak aż do wrót dobiegli, od których ludzie Sulenty błazna biczami się pozbyli, gościa
niespodzianego puszczając do środka.

Wyszedł naprzeciw stary kupiec a zobaczywszy Jakse, którego się z powrotem tak rychło nie spodziewał, odartego z chudemi i pooszarpowanemi końmi — zdumiał się wielce.

Potrzebując ojca, musiał się synowi wysługiwać i ugaszczać.

Zaledwie do izby weszli, gdy zwróciwszy się doń Jaksa, zapytał o to, co mu błazen mówił po drodze.

Sulenta ramionami poruszył znacząco.

— Prawdą jest — rzekł — że brata biskupa Iwona, starego Mszczuja schwycono pod miastem, że zbiegła z zamku dziewczyną — że ludzi książeńcych potłukł, i sądzić go mają...

— Chyba do Krakowa o tém wieść nie doszła i biskup nic nie wie, bo rodzzonego swojego by ratował! — zawołał Jaksa.

— A jakże go ma ratować — rzekł Sulenta — gdy na gorącym uczynku został schwycony? — Niemcy się naposiedli aby go rychło osądzić, i godziny nie będą czekali po tem, okupu nie wezmą a zetną.

Uśmiezek złości pełen wykrzywił Jaskowi usta...

— Godziło by się i mnie — mruknął — na te gody poczekać i aby widzieć jak się Odrowążowska krew poleje! Mniej jednym będzie.

Sulenta zerknął i nie rzekł nic, jego bolało, że niemcy się mieli znęcać nad jednym z tych, których już dosyć wytępilli na Ślązku.

Jaskowi teraz i spoczynek miły, do którego spieszył, zubożniał, co prędzej chciał do Nikosza na zamek, żeby się dowiedzieć jak sprawa stała.

Mimo zapewnienia Sulenty, wierzyć mu się nie chciało, ażeby gwałt taki mógł człek stary popełnić.

Odziawszy się czystiej pobiegł ku zamkowi. Tu ludzi chodziło dosyć, a wszyscy jacyś zajęci, spieszący się, że na pytania nawet odpowiadać nie chcieli. Z trudnością mógł się o przyjaciela dowiedzieć, a trudniej jeszcze wywołać go było.

Czekał nań u wrót do uprzykrzenia, gdy wreszcie przytoczył się zasapany.

— Wy tu znowu? — zawołał Nikosz — w samą porę! wiecie co się u nas stało?

— Ludzie mi prawią — ale wierzyć się nie chce! — rzekł Jaszko.

— Jam prawie na to patrzył — odparł Nikosz — a nie wiem jeszcze czy to prawda, czy kłam. Człek taki poważny i stateczny, dziewczeczka do klasztoru przeznaczona...

Podniósł ręce do góry...

— Szatańskie to sprawy — dodał z westchnieniem.

— Jakże to było? — pytał Jaksa.

— Naprzód stary od rozbójników je ratował, — począł Nikosz — potem w drodze widać mniszkę namówił sobie. Na zamku gdy ona wrzekomo chorowała a księżę na łowach był, podkraadał się do niej. No — i zmówili się! Wieczorem jej nie stało, a on wyciągnął z miasta. Puściła się pogoń, wzięli ją u niego na koniu, a broniąc jej stary, dwóch naszych najlepszych w miejscu ubił, kilku ręce pogruchotał. Ledwie go zmoogli..

— Cóż? i sądzić mają?

— Albo jutro lub pojutrze! — odparł Nikosz — i z więzienia prosto na pieniek. Kat już miecz szlifuje.

— Odrowąż! — z mściwym wyrazem zawołał Jaksa — to mi zapłaci za wszystkie nędze tej włóczęgi z której powracam...

Juściż gdy go ścinać będą, wpuście mnie w podwórze, abym i ja popatrzył.

Nikosz ze wstrętem jakimś spojrział nań — nie odpowiedział nic.

— A w Krakowie o tém wiedzą? spytał Jaksa.

— Nie słyhać! — rzekł lakonicznie Nikosz.

Niespokojny, dłużej się nie puszczając w rozmowę i nie zapraszając do wdowiczki, Nikosz wymknął się nazad do zamku.

IX

W jednej z izb zamku wrocławskiego za ogromnym stołem, tegoż wieczora siedzieli trzech ludzi, zajętych tajemniczą, urywaną rozmową. Na stole suknem okrytym para ksiąg w drzewo i skórę świnia oprawnych rozłożona była, lecz mrok już nie dozwalał się ich radzić.

Znający obyczaje tych czasów, domyślił by się z dwu wielkich, białych, z kory oczyszczonych kijów, laski sędziowskie, godło urzędu oznaczających — że zebrani w izbie pełnili obowiązki te przy dworze.

Wszyscy rozmawiali po cichu, twarze mieli roznamiętnione, posępne, czoła namarszczone — postawy jak na sędziów przystało, sztywne i twarde.

W końcu stołu na osobnym siedzeniu, sparty na poręczy, odpoczywał człek siwych włosów, z wygoloną twarzą, jak przystało, nadymający się wielce. Inni patrzali nań z poszanowaniem i pewną obawą. Ile razy odezwał się, potakiwano. Twarz o ile ją reszotka światła dziennego z boku oblewając, widzieć dozwalała — zdała się z wosku ulepioną tak była żółta i trupia. Nawykły do surowości i powagi, jako sprawca sprawiedliwości i wyrocznia prawa, człek ten nie miał śladu uśmiechu i uspokojenia w obliczu które sztucznie sobie stworzyć musiał. Nie można było zgadnąć czy pod tą maską kryła się dusza łagodna, czy temperament namiętny.

Był to sędzia — który i śpiąc nawet, nim być nie przestawał. Ten *Judex Curiae*, którego mistrzem Adalbertem zwano, rodem był z Niemiec, uczniem włosch, a sługą księcia Henryka. Znał on wszystkie prawa, nawet zwyczajowe, krajowe, wedle którego sędzić był obowiązany, lecz ilekroć znalazł obce surowsze, zawsze je przekładał nad barbarzyńskie miejscowe, które jako nie spisane, żadnej dlań powagi nie miało.

Uczonym był i przebiegłym, tak że w wielu razach, duchowni go na poradę do swoich trybunałów wzywali, bo i w kościelnych ustawach był biegły.

Drugim obok niego na ławie, był młodszy, podsędzia dworu, wyręczający go czasem, lat zaledwie z dojrzałości młodzieńczej wyszłych, jasnej twarzy, rozumnych oczów, wysokiego czoła, jasnego wejrzenia. I ten rodził się gdzieś w Saksonii, uczył po świecie a przybył praktyczne studia kończyć przy słynnym Adalbercie, którego naukę wysoko cenił.

Przy braku środków, rękopismów i wykładów, których we Włoszech i Paryżu szukać było potrzeba, nauczyciel był skarbem, miejsce przy nim łaską — i *Subiudex* Gerward szczęśliwym się zwał iż go tu do pomocy przyjęto...

Chciwy nauki Gerward dla niej szczególnie trzymał się Wrocławia i mistrza.

Trzecim pomiędzy nimi był prokurator czyli instygator, którego różnie zwano po urzędzie, Niemiec Herman, niegdyś pono miejski urzędnik w Magdeburgu, człek żołnierskiej postawy, a twarzy małej, krągłej i brzydkiej, na której nos, oczy i usta jak drobne plamy w niedokończonym rysunku, ledwie były widoczne. Na krągłej jak twarz głowie, jeżył mu się włos twardy jak szczecina, niepomiernie odrastający i nieposłuszny.

Wielkiej siły, stworzonym był raczej na oprawcę niż na inne narzędzie sprawiedliwości. Znano go z okrucieństwa. Miał też straż zwierzchnią nad więźniami i biegłym był we wszystkich praktykach sądów Bożych (*Ordalia*), których warunki umiał określić, czy szło o rycerską bitwę w szrankach, czy o walkę na kije, o próbę przez ogień czy przez wodę.

Znał się też na domierzaniu kar, gdy szło o ucinanie rąk, nóg i o inne cielesne domiary sprawiedliwości. — A że najmniejszej nigdy nie okazał słabości, nikomu folgi nie czynił, i surowo trzymał podwładnych, bez niego się obejść nie było można.

W ulicach uciekano zobaczywszy tego straszego Hermana, który wszelkie przekroczenie dojrzał, o wszystkim wiedział, a jeżeli osoba poszlakowana nie należała do jurysdykcji książęcej, po przyjacielsku władzom innym ją wskazywał. Dla niego dom żaden nie był tak szczelnie zamknięty, żeby doń oko jego się nie wcisnęło, nie było cichej rozmowy, którejby on cudem jakimś nie podsłuchał.

Drżeli przed nim własni jego domownicy i rodzina, bo każdego czasu gotów był ich oddać w ręce sprawiedliwości. Pełnił tak gorliwie swe obowiązki, i uczynił z nich sobie taki nałóg że gdy zaskarżyć nie miał kogo, życie mu się przykrzyło.

To szukanie występku czyniło go w poszlakowaniu winnych tak straszliwie biegłym, że często w ulicy łapał ludzi, których z wejrzenia poznawał jako złoczyńców, choć o ich przestępstwie nie wiedział.

Do wielkich czcicieli mistrza Adalberta należał Herman, był jego dostarczycielem namiętnym, i z długoletniego doświadczenia zawsze prawie mógł wyprorokować karę jaka domierzoną przezeń być miała.

Ludzie ci zebrani w izbie naradzali się nad sprawą wielkiej wagi, widać to było po ich sfaldowanych czołach i zadumanych obliczach.

Jeden zwany ówczesnym językiem Prolocutor, instygujący Herman miał oblicze spokojne i zdziwione niemal tem iż sędzia i podsędek tak ważyli co jemu wprost, słowem jednym zdawało się bardzo do rozwiązania łatwym.

— Świadcstwo niewiasty — mówił powoli każdy wyraz wymawiając z przyciskiem Adalbert — świadcstwo niewiasty przed sądem nic nie znaczy. Wszystkie prawa są w tem zgodne... Pandekty, *decretalia*, Gracyan, *os aureum*, *codices* i prawa Longobardów. — Ułomna istota porusza się pod władzą chwilowego uczucia, namiętności — nie waży nic sobie, idzie za popędem.

Więc — chociażby poprzysięgła iż Odrowąż ów nie winien jest, my na to zważać nie możemy.

— Na cóż tu świadcstwa, przysięgi i dowody, — przerwał Herman, — schwytany na uczynku! Chociażby, jak przynależy, stawil świadków dziewięciu dla oczyszczenia się — co świadkowie przeciw oczewistości??

Stary zaś widać tak jest przekonany iż na swą obronę nic powiedzieć nie potrafi, że nawet ust nie otwiera — jakby oniemiał.

Sędzia i podsędzia patrzyli na mówiącego Hermana Prolocutora z ciekawością wytężoną.

— Siostra Anna, osoba poważna, — dodał — powiada że w podróży po owem przybyciu na ratunek od łotrzyków, stary ciągle z jej towarzyszką był w rozmowie, często pół cichej. Zastała ich wracając z kościółka... Dziewica Bianca ciągle ku niemu zwracała głowę, dając znaki porozumienia.

— Lecz, czcigodny prolokutorze — przerwał żwawo Gerwart podsędzia, — jeżeli świadcstwo niewiasty nic nie waży? toć i siostry Anny słowa w rachunek wchodzić nie mogą.

Uśmiechnął się złośliwie nieco mistrz Adalbert i podniósł rękę do góry.

— Rozróżnić potrzeba — rzekł — świadcstwo osoby która przez śluby Bogu złożone nabiera charakteru poważniejszego, od dziewicy którą za współwinną uważać trzeba.

— Zatem, — odezwał się Gerwart obracając z pytaniem do sędziego — onaby też musiała być ukaraną?

Z tej logiki trochę za żywej znowu się uśmiechnąć musiał sędzia.

— Nie mamy prawa karania osób już poniekąd do jurysdykcji duchownej należących — rzekł. — Wprawdzie owa Bianca nie jest jeszcze zakonnica, lecz gdy *Ducissa* nasza ją do tego stanu przeznaczyła — zatem wychodzi z pod władzy naszej.

Chwila milczenia przerwała naradę, z którą się nie zdawano spieszyć.

— Wyznaję w pokorze ducha — odezwał się podsędzia patrząc na swego nauczyciela, — że sprawa ta cała ciemną jest dla mnie. Człowiek podżyły, prawie stary, o którym powszechne mniemanie jest iż nigdy namiętnościom się nie dał powodować i od owdowienia żony nawet nie pojął, — nagle dający się takiej poządliwości ować, bez względu na osobę, czas, miejsce...

— Cóż tu niepojętego? — zawołał poruszając się Adalbert. — Tysiące mamy przykładów iż starcy w namiętnościach swych najsprośniejsi są. Przypomnij historię niewinnej Zuzanny...

— Wszystko to jasne, oczewiste i dowodów niepotrzebujące — zawołał głos podnosząc Herman prolokutor. — W drodze już zawiązuje się stosunek występny, następuje pewnie umowa. Płochą niewiastka dostatkami i nadzieją swobody uwieść się daje. Mszczuj przedłuża pobyt swój na dworze, wybiera chwilę gdy księcia nie ma i na zamek się wkrada, wślizga aż do komnat niewieścich, wyjeżdża w nocy, — pośpiesznie ucieka...

Raptus jest i *violentia* oczywista...

— Jeżeli za zgodą owej niewiasty — przerwał Gerwart — więc gdzie *violentia*?

Sędzia powstał groźnie...

— *Violentia*, gwałt — zawołał — zachodzi zawsze, choćby na umyśle słabej istocie był zadany. Gwałtem są obietnice, ofiary, słodkie słowa, namowy... Niewiasta się daje porwać, otumanić, usidlić... Jako wąż oczyma ofiarę swą ten człowiek znękał i przymusił do posłuszeństwa. Była *fascinatia djaboli*!

Podsędzia umilkł.

— Zważajcież — dorzucił Herman — że ten człek chciał dwór naszego księcia ze świętobliwości słynący zbescześcić, przez nienawiść przeciwko teutonom, z którą się nie krył.

Raptus i w tém, że gdy ludzie książęcy nadbiegli, porwał się na nich do broni, dwu zabił a kilku okaleczył. Tego jednego dosyć, aby go na śmierć sądzić, ząb za ząb, głowa za głowę.

— Aleby się mógł grzywnami okupić — wtrącił Gerwart. — Wszak ci wedle praw tutecznych za zabójstwo na publicznej drodze i złamanie miru, cztery grzywny i pięćdziesiąt grzywien. Rycerskiego pochodzenia człowiek, a pobici knechty są...

— Wy bo winnych jakbyście bronić chcieli — odezwał się Herman z wymówką. — Nie nasza to rzecz oczyszczać!

— Głos publiczny na całym dworze, domaga się przykładowej kary...

— *Causa gravis — enormis!* — przerwał z powagą Adalbert — obracając się do Gerwarta, który ciekawe oczy wlepione weń trzymał — *causa enormis!* Zawierzysz mi młodzieńcze, mnie co mam nietylko doświadczenie lat mnogich, alem naukę czerpał tam, gdzie każdy wypadek wykładano przechodząc przez *Casus, brocarda, quaestiones* i *glossy* — że tu chcieć wybielić co czarne, byłoby niegodziwością i występkiem równym niemal temu, jaki ten człowiek od Boga odrzucony popełnił.

Gerwart skłonił głowę.

— Rzekł on sławny jurysta włoski: *amisi aequum quia dixi aequum quod non fuit aequum* — dodał Adalbert — a gdybyśmy rzekli że ten człowiek śmierci niewart, gorzej niż konia byśmy stracili, bo powagę naszą.

— Ja zawsze trzymam — przerwał gwałtownie Herman, ręką uderzając o stół — że lepiej jest aby niewinny został ukarany, niż by winny uszedł kary. Niewinny na tamtym świecie znajdzie nagrodę, życie postrada doczesne a wieczne kupi, winny zaś gdy uniknie stryczka lub topora, rad że mu bezkarnie uszło, brnie dalej w nieprawościach.

— Zasada bardzo słuszna i sprawiedliwa — odezwał się Adalbert. — Litość nie naszą rzeczą, myśmy ramieniem sprawiedliwości, której miecz godłem.

— I szala, jeżeli się nie mylę — pokornie dorzucił Gerwart.

— Tak — zawołał Adalbert — ale szala na to jest, aby wyważyła karę, nie żeby ją usunęła. Na szali ważym czy ściąć, powiesić, kołem bić lub ćwiertować...

Tłumaczenie to wagi w rękach sprawiedliwości, przyjął młody Gerwart z uwielbieniem dla swego nauczyciela.

— Cóż mówi książę — odezwał się ciszej Adalbert do Hermana zwracając. — Zdaje mi się że i jego wolą jest aby winny pokutował.

— Nie ma wątpliwości! — krzyknął prolokutor — książę oburzony, bo we łzach widział księżnę, która nigdy nie płacze. Cóż rzekną ludzie o klasztorach naszych i osobach Bogu poświęconych, gdy się rozejdzie wieść, że z nich tak łatwo uprowadzają dziewice?...

— Ta jeszcze nie była w klasztorze! — mruknął Gerwart.

Zzymnął ramionami Adalbert.

— Tak jakby już w nim była — odparł niecierpliwie. — Świadkowie są mnodzy na to, że gdy księżna po nią przybyła, ze łzami pokłękła przed nią i z radości omdlała, gdy jej o przeznaczeniu do szczęśliwości zakonnej oznajmiła. Ślubowała więc już myślą i usty, dziękując świętej naszej Ducissime...

— Po czem zachorowała — rzekł podsędzia.

— A ta choroba właśnie jest mi podejrzaną — odparł sędzia — czyli w niej *maleficium*, czar, zadanie jakie, napój przeklęty nie zachodzi. Mają starcy zepsuci likwory i ekstrakta swoje, któremi szatańskich sztuk dowodzą...

Mówili tak zwolna, gdy uchyliły się drzwi, i Peregrynus wszedł, przyjaciel a sługa książęcy.

— Jeżelibyście relacyj tej niewiasty wysłuchać chcieli — odezwał się — nim do Trzebnicy odjedzie, możecie teraz ją wezwać, księżna zgadza się na to. Siostra Anna ją tu przywiedzie.

— Po co? — rzekł gwałtownie, ale z pewnym poszanowaniem dla Peregryna — Herman. Wszystko tu jak na dłoni, wątpliwości żadnej.

²*causa enormis* — wyrażenie ówczesne. [przypis autorski]

— Tak — przerwał nakazując mu milczenie Adalbert — dla nas nie ma wątpliwości, ale przesłuchanie współwinnej, czy też ofiary jego lubieżności, zda mi się zgodnym z obyczajem sądowym.

Lepiej nadto, niż za mało... Rozkażcie aby przyszła...

Peregryn dosyć obojętnie skłonił głowę.

— Cóż księżę? — szepnął sędzia.

— Trudno mi zrozumieć go — cicho odezwał się niemiec. — Zda się chwilami wahać. Rodzony brat nader świątobliwego męża...

— Tysiące mamy przykładów nie tylko braci świątobliwych będących występniemi, lecz dzieci rodziców świętych, kalających się zbrodnią... podchwycił Adalbert.

— Na dworze krakowskim uczyni to niemile wrażenie — rzekł Peregryn.

— Jako? podniesie sławę naszą — zawołał Adalbert — bo nie słabość i pobłażliwość gruntuje cnotę, ale surowość...

Peregryn zamilkł, szepnął coś sędziemu, który względem niego stawił się ze swą całą powagą, i kiwnieniem głowy odpowiedział — po czém oddalił się.

W izbie panowało milczenie... Herman wyszedł aby kazać zaniecić światło. Sędzia i podsędzia siedzieli w zamyśleniu... Drzwi się otwarły i wiodąc za rękę Biankę weszła siostra Anna.

W twarzy sieroty, na której widoczne były palących łez ślady, malowało się rozdrażnienie do rozpacz prawie dochodzące. Szła krzyżyk trzymając w ręku, oczy to nań spuszczała to podnosząc rozognione na sędziów.

Herman stanął z boku.

Adalbert surowszą jeszcze przybrał postawę, Gerwart z ciekawością niezmierną, z litością której ukryć nie umiał, wpatrywał się w sierotę... Siostra Anna była zburzoną i niespokojną. Wiodąc za rękę Biankę szeptała jej coś ciągle do ucha, czego ona nie zdawała się słyszeć nawet. Szła aż do stołu i tu zatrzymawszy się nagle, podniosła w białych rękach krucyfiks do góry...

— Mów — odezwał się Adalbert nakazująco — mów a pomnij, że masz przed sobą nie sędziów ziemskich ale i wiekuistego sędziego, który nas słucha...

Chwilę trwało milczenie, Bianka patrzyła na krzyż ciągle.

— Na tego Chrystusa ukrzyżowanego, którego wizerunek trzymam w grzesznych rękach moich — odezwała się głosem, w którym tłumione łkanie słyhać było — przysięgam wam, ten człowiek jest niewinny. Jam winna...

Głosu jej zabrakło. Siostra Anna wzdrygnęła się; Herman stojący w kącie rzucił się tak, że go słyhać było nogami bijącego o podłogę. Adalbert zżymnął, jednemu Gerwartowi oczy zabłysły jakby radością.

— Jam winna — mówiła dalej, na siłę się wzmagając — jam winna. Lękałam się klasztoru nie czując godną służyć Bogu. Wychowana byłam na światowym dworze, dusza moja trwożyła się... Jam pierwsza niewinnego starca o ratunek błagała, on mnie do cierpliwości nakłaniał...

Nie wiem sama co się ze mną stało, gdy pobożna księżna przybyła, przemówiła, pobłogosławiła mnie. Uspokoił się duch mój, trwoga przeszła...

Zachorowałam po tem, a gdy księżna odjechała, która miała władzę nademną, wróciła trwoga... wróciła rozpacz... Napadłam błagając starca o ratunek, gdy przypadkiem oknem zobaczyłam go wchodzącego do zamku, sama po niego posłałam sługę — niech świadczy! Uciekł strwożony... a moja trwoga i rozpacz tak rosły, że wiedząc o odjeździe jego z zamku uciekła, na drodze padłam przed nim, domagając się, aby mnie wziął z sobą.

Nie porwał on mnie — jam sama mu się narzuciła!

Tak mi Boże przebac i pomóż (podnosząc krzyż powtórzyła) prawdę mówię.

Placz przerwał jej gorączkową mowę.

— Dziś — dodała — miłosierna księżna rozpędziła strach mój, odmienioną jestem, spokoju pragnę i spoczynku — chcę pokutować, lecz błagam was, niech krew niewinna nie spada na mnie!!..

Mistrz Adalbert uśmiechnął się, głową potrząsając. Gerwart patrzył nań chcąc odgadnąć jakie ta mowa czyniła wrażenie.

Herman w ciemnym kącie, niecierpliwemi krokami, oburzony się przechadzał.

Bianka zwolna pokłękła, krzyż podnosząc do góry.

— Przysięgam! — powtórzyła. — Głos jej słabnął, chyliła się w tył, gdy siostra Anna pospieszyła chwycić ją na ręce omdlałą.

Gerwart ruszył się był, jakby go litość zdjęła, lecz surowy wzrok Adalberta, na miejscu go zatrzymał.

Potrzeba było wynieść omdlałą. Silna dziwnie, mimo wychudzenia, siostra Anna ujęła ją w pól i dźwignęła głowie dając na ramieniu swem spoczywać, Herman otworzył drzwi i widok trupio bladej sieroty znikł im z oczów.

Milczenie panowało dość długo. Adalbert przesuwiał księgi, machinalnie zabawiając się nimi. Gerwart patrzył nań czekając i nie śmiejąc się odezwać.

Herman od drzwi powróciwszy stanął w drugim końcu stołu, twarz mu wykrzywiło zburzenie jakiego doznał...

— Niewiasta niespełna rozumu — zawyrokował sędzia — pamięci niema i tworzy sobie baśń ze strachu krwi, której każda niewiasta się lęka, więcej bodaj niż grzechu.

— Lecz przysięga? — zapytał młodszy — ważyłaby się na krzywoprzysięstwo?

— Sama nie wiedząc o niem — bo widocznie pamięć ją odbiegła — odparł sędzia. — Opowiadanie jej nie zgadza się z wypróbowanymi i dowiedzionymi wypadkami.

Podsędzia przeczyć się nie ośmielił.

Posiedzenie zdawało się skończone, a było tylko przygotowaniem do uroczystego sądu, który się miał odbyć nazajutrz... Adalbert nakrył głowę i wstał, ruszył się Herman, Gerwart wahał i zdawał czegoś pragnąć jeszcze.

— Ja w tej sprawie — odezwał się do nauczyciela — jestem tylko ciekawym mądrości twej uczniem, mistrzu którego jak Gossiusa można zwać „*Copia legum*” pozwólcie mi się oświecać i uczyć. Nie zabronicie mi abym w więzieniu obwinionego widział dziś nim na sąd stanie?

Adalbert trochę pochlebstwem ujęty, stanął namarszczony i zamyślony. Herman widocznie ukazał nieukontentowanie.

— Uczyć się chwalebna — rzekł zapytany — badać obwinionych nie zdrożna. Możecie pójść, lecz spożytkujcież bytność waszą dwoiście a skłońcie występnego do skruchy. Niech zezna co uczynił, niech nie zapiera czarów i napojów jakich użył, niech opłakuje i spowiada się...

Nisko pokłonił się dziękując Gerwart i ruszył nie oglądając na Hermana, który w izbie pozostał.

Po wyjściu jego, Adalbertus na drzwi wskazując, szepnął do prolokutora:

— Nadziei wielkich młodzian, ale dojrzałości potrzebuje i hartu!

— Miękki jest — mruknął Herman — a kto nożem być musi, ten ostrym i rzeźącym być powinien.

Szybkim krokiem korzystając z dozwolenia, Gerwart się spuścił z wązkich wschodków, ku na pól pod ziemią znajdującemu się więzieniu. U drzwi jego dębowych, drzymał klucznik, stary człek grubych rąk i nóg, ponurej twarzy, której skórę wiek pogarbił i stwardnił.

Znał on swą zwierzchność i na widok podsędiego, podjął się z wolna z pieńka na którym siedział. Gerwart na drzwi mu ukazał. Jął natychmiast drąg, którego koniec w mur był wpuszczony i odpierać go zaczął. Ciężkie drzwi skrzypnęły na zawiasach, podsędzia wszedł...

W sklepionej niskiej izbie było ciemno... musiał się u progu wstrzymać, lękając w ciemności na więźnia natrącić.

Stróż tymczasem do bocznej izby, w której inni pacholkiwie siedzieli, poszedł po drzazgę, i zapaloną przyniósłszy w szczelinę na nią przeznaczoną w mur zatknął. Wyszedł.

Na posłaniu słomianem postrzegł Gerwart skępowanego z rękami w tył związane- mi starca, który gwałtownie się rzucić chciał aby uniknąć jego wzroku, lecz nogi i ręce zdrętwiałe od powrozów, siłę mu odjęły...

Gerwart stanął nad nim w pewnym oddaleniu i pozdrowił go swym językiem. Oczy Mszczyja zabłysły, nie odpowiedział nic.

Głosowi swemu podsędzia starał się nadać wyraz łagodny, zagadał raz i drugi, lecz stary milczał uparcie.

Domyślając się że przyczyną milczenia mógł być język — Gerwart, który pilno się uczył mowy miejscowej, przemówił doń po polsku.

— Przychodzę do was nie ze złą wolą, — rzekł, — ani bym was dręczył i pastwił się, prowadzi mnie miłosierdzie. — Małym człkiem jestem, pod-sędzią, ale i ja mógłbym coś uczynić, gdybym wiedział co jest do czynienia.

Mszczuj słuchał uważnie, zlekka westchnął — nie mówił nic.

— Macieli co na obronę? mówcie mi. — Niewiasta która była przyczyną nieszczęścia tego, zeznała przed nami i poprzysięgła że sama winną była, lecz jej świadectwo wagi nie ma.

Słyszając te słowa Mszczuj się poruszył nieco.

— Tyś Niemiec? — mruknął.

— Człowiek jestem — odparł Gerwart.

— Człowiek? — szydersko zapytał stary... i zamilkł.

— Ratujcież się jeśli można, — dodał podsędzia...

Czekał na odpowiedź...

— Nie można, nie można! — wyrwało się Mszczujowi, jak mimo jego woli. — Niemcy jesteście wszyscy sprzysięgli na nas — bijcież i zabijajcie gdyśmy w mocy waszej — abyście prędzej kraj posiadli. Słowem się obronić od was, a ręceście mi związali.

— Poco sąd? — ciągnął dalej z goryczą — na co tu sędziowie, zawołajcie oprawcę i kaźcie zdjąć z karku głowę. Napijcie się krwi naszej, odejdzie wam na czas jej pragnienie...

Słowy temi nie zrażając się młody podsędzia nie poruszył się z miejsca — czekał aby ochłonął stary.

— Nie obwiniajcie nas ale los wasz a zrządzenie Boże osobliwe, którego ciosy niezbadane są — rzekł zwolna. — Sami przyznać musicie iż przeciwko wam mówi wszystko, a za wami jedna ta niewiasta, której słabemu umysłowi wiara daną być nie może...

Mszczuj rozśmiał się.

— Zetniścież mi łeb — odezwał się porywcz. — O jedną, proszę, przyślijcie mi przed śmiercią kapłana naszego, boć ich tu jeszcze znajdzie się kilku...

Duszy mej gubić prawa nie macie, pójdzie ona świadczyć o sprawiedliwości waszej i wołać o pomstę. Krwią moją Bóg się może poruszy...

— Lecz czemuż bronić się nie chcecie? — zawołał Gerwart.

— Bo obrona na nic... — zawołał Mszczuj. — Czują Niemcy żem ich wróg, muszą mi życie odjąć...

Zamilkł nagle.

— Mnie nie oskarżajcie — począł podsędzia łagodnie. — Bóg mi świadek żem tu przyszedł w myśli ratunek mając...

Uderzył się w piersi...

— Inna chyba w tobie płynie krew — odezwał się Mszczuj, — choć was Niemcy za swego ochrzcili, ja nie wierzę aby który z was miał dla obcego serce... Macie je pewnie dla swoich, z nami wojna wieczna, bo nam ziemia dwojgu za ciasna.

— Mówcie co macie na swą obronę — przerwał żywo Gerwart — ja długo trwać tu nie mogę..

— Nic nie rzekę — zamruczał uparty stary. — Chcecie więc abym niewiastę słabą obwiniał, którą strach uczynił na pół szaloną?? Cóż z tego że mi ona sama zaszła drogę za bramą miasta, ludzie to moi widzieli — alem winien żem na koń ją wsadzić kazał.

Nagle przerwał Mszczuj.

— Księdza mi przyślijcie, więcej nie chcę...

W tem coś mu w myśl przyszło, pewnie tych dwie istot niewinnych, które w domu zostawił i oczy mu się zwilżyły, blask łuczywa zaświecił we łzach...

Gerwart stał pogrążony w zadumie, — szelest jakiś jakby spadającego czegoś na ziemię dał się słyszeć.

— Bóg wielki! — westchnął podsędzia — pochylił głowę — i powoli patrząc na podłogę w jedno miejsce wyszedł za drzwi, które się natychmiast za nim zamknęły...

Przy świetle dopalającej się wewnątrz drzazgi smolnej Mszczuj dostrzegł w tem miejscu, kędy stał Gerwart, upuszczony na ziemię nóż...

Chciwie wlepił weń oczy...

Waligóra miał siłę olbrzymią. — Jakaś nadzieja nieokreślona, dziwna, wstrzęsła nim całym. Z wysiłkiem niezmiernym począł się posuwać na barłogu, usiłując dosięgnąć tego błyszczącego narzędzia. Pot mu wystąpił na czoło kroplisty...

Łuczywo zgasło, kilka jego węgli czerwieniejących dogorywało na podłodze... Twarzą ległszy na ziemi, czołgał się starzec aż pochwycił w zęby żelazo...

Zsunął je potem za siebie, na plecy i pełznąć znowu, usiłował dosięgnąć rękami...

Skrepowane, zaledwie dłonie miały wolne...

Naostatek chłodne dotknięcie żelaza poczuł w palcach i ujął je... Zdrętwiałe dłonie z trudnością się poruszały... lecz wola spotęgowana do czynienia cudów, wróciła im siłę... Najbliższy z powrozów Mszczuj powoli rzezać zaczął...

Po długiej pracy powolnej sznur pękł i część więzów cisnąć przestała, ręce wolniejsze się uczuły...

Waligóra podniósł się, szarpnął postronki i potargał je w kawałki.

Chwila jeszcze a nóż poprzecinał na nogach sznury... Chcąc się podnieść całkiem uczuł dopiero że długie skrepowanie obezwładniło go. Potrzebował wyciągnąć stawy, rozgiąć kości w których ból czuł niezmierny. Lecz cóż znaczy ból gdy świta nadzieja swobody...?

Waligóra dźwignął się, otrząsł jak niedźwiedź, czuł że odzyskiwał dawną siłę.

Była noc — mógł być wolnym. Zdało mu się że już nim jest... Ostrożnie powlókł się ku oknu, wysoko w ścianie umieszczonemu. Teraz dlań nie było niepodobieństwa, wszystko się zdawało możliwym... Dosięgnięcie okna było fraszką, pochwycił kamienie opasujące je i podniósł się ku niemu. Żelazna krata tkwiła w mur głęboko wpuszczona.

Jedną ręką trzymając się, drugą Waligóra chwycił w pośrodku kratę, mocować zaczął i uczuł że się poruszała. Kamień jeden spadł mu na pierś i potoczył się na ziemię.

Raz i drugi Mszczuj wstrząsł pręty żelaznemi, które się pogięły, i część ich wydobyła z muru... Chwyciwszy ją, jak ząb ze szczęki, dobył kratę... Okno stało powyszczerbiane... otwarte... Było dosyć obszerne aby się niem gdzieś wydobyć można...

Wśród tych nadludzkich wysiłków, Mszczuj zamiast się czuć osłabłym, nabierał siły tej olbrzymiej, jaką miał niegdyś.

Wracała mu z nadzieją.

Nie rzucając z ręki żelaznej kraty, która mogła służyć jak oręż do obrony, Waligóra wsunął się w okno, przewalił za nie i muru chwytając, którego kamienie pod jego palcami się poruszały, wydobył się z więzienia cały...

Okno było nad samą ziemią umieszczone..., dotknął jej nogami — tchnął całą pierśią. Obejrzał się dokoła. Na tle ciemnej nocy, mury ciemniejsze jeszcze sterczały zewsząd... lecz ludzi i straży nie było... Podwórze w którym się znalazł, zamknięte, puste, zawałone gruzami i śmieciem — nie miało wyjścia, lub noc go dostrzedz nie dozwalała... Poszedł więc rękami macając mury, szukać furty...

Mur z polnego kamienia wynosił się wysoko, drapać się do wierzchołka mógł tylko zmuszony. Wrota żadne dlań nie były straszne, był pewien że je teraz strzaska i wylamie...

Od pierwszej połaci muru począwszy włókł się dysząc, a rękami okrwawionemi mury badając... Omal krzyk nie wyrwał mu się z piersi gdy drzwi uczuł pod palcami. Nie potrzebowały one wysiłku i łamania, bo drąg je zamykał ze środka. Podnieść go tylko musiał i odrzucić aby się znaleźć za murami... może już na swobodzie!!

Z pośpiechem obalił tę ostatnią przeszkodę. Za wrotkami wał spadał stromo w głęboki przepok zamkowy, w który Waligóra się spuścił. Stała w nim zgniła woda po kolana..., dalej już ciągnęło się błoto i łąka. Noc nie dozwalała widzieć nic, oprócz tego co pod stopami. Wśród ciszy wielkiej przerywanej w dali wołaniem stróżów miejskich, pilne ucho Waligóry pochwyciło odległe rżenie koni.

Nie mogły się one paść na wyschłej już i beztrawnej łące... lecz — obozował ktoś może pod murami, przybywszy po bram zamknięciu.

Waligóra począł iść nasłuchując i rozpatrując się. — Oczy jego oswajały się z ciemnością, instynkt stary człowieka co w polach i lasach spędził pół wieku, powracał spotęgowany jasnowidzeniem... W dali już czerniała mu kupka koni do wozów poprzywiązywana.

Ludzie spali w nich.

Zbliżając się Mszczuj nie spieszył z porwaniem tej łatwej zdobyczy, starał się rozzebrać który z tych koni poniesie go najdzielniej i nie da się drugim wyścignąć.

Lecz w wyborze nocnym, los i szczęście stanowią musiały.

W chwili gdy podchodził już do wozów, doszła go wrzawa na grodzie... Ludzie około murów biegali i krzyczeli... Odkryto jego ucieczkę...

Za grzywę porwawszy pierwszego z brzegu, Mszczuj skoczył mu na grzbiet i powróż którym był przywiązany zerwał jak nitkę... Nie potrzebował uzdy ani wodzów, nawykł był dawniej dzikie konie nogami ścisnąwszy, pięścią kierować.

Budzili się ludzie na wozach, gdy Mszczuj już pędził czwałem sam nie wiedząc dokąd, byle precz, precz jak najdalej od tego miasta... Dobiedz do lasu było ocaleniem...

Zdała błyskały już i światła u murów i otwartej furty, odzywały się rogi, tentent słychać było zdaleka... Mszczuj gnał zdyszanego konia, na lasy!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/waligora-tom-ii/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Waligóra: powieść historyczna z czasów Leszka Białego*, T. 2, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff. M. Glücksberg [etc.], Kraków 1880.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0472-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).